

CZARNA PEREŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.

(CIĄG DALSZY.)

Pudła te widocznie starożytne, rozmaitej formy, dosyć dziwaczne, zamykane na haczki, nosiły wewnątrz bardzo wyraźne odciski niegdyś w nich długo na aksamitnych podkładkach leżących klejnotów... Żadnego z nich tu już nie było, ale kształty ich dobitnie zachował ściśnięty aksamit. Alfred mógł się przekonać, iż traf dał mu w ręce najpożądańszy z dowodów winy... której on sam z trudnością mógł uwierzyć. Ale futerały te znalazły się w mieszkaniu panny Lenory; słudzy pytani o nie, nie umieli objaśnić, coby onc znaczyły... dlaczego się tu znajdowały... Opis pierwszej intercyzy zgadzał się doskonale z odciskiem kanaka owego na największem z pudełek.

Alfred sam się zmieszał tem odkryciem, chociaż go pożądał; w duszy nie mógł przypuścić winy, choć potakiwał matce... znał dosyć Lenorę, by być pewnym niemal, iż ona sobie przywłaszczyć tych precyozów nie mogła... a jednak!

Natychmiast wezwano z miasteczka urzędnika i tegoż wieczora spisano protokół... Ludzie, którzy zrazu nie rozumieli nic i nie domyślali się, do czego to wszystko służyć może, poźniej przestraszeni wahali się z poświadczeniem, ale wezwani do przysięgi, uledz musieli.

Jeden tylko kamerdyner Franciszek, nâdszedłszy poźniej, do zeznań innych dołożył swoje, natarczywie się dopraszając, aby je zapisano, i zeznał, że pudełka te widział nieraz próżne od bardzo dawna, że wojewodzina dawała je do zabawy panience, gdy ta jeszcze była małą... i że nikt nie pamiętał, aby się co w nich znàjdowało...

Zeznanie to wraz z innemi musiało być zapisane, a ono jedno tylko uniewinniać się zdawało nieszczęśliwą sierotę. Badany Franciszek o same klejnoty, czyby ich gdzie nie widział, lub nie słyszał, co się z nimi stało, nie umiał nic powiedzieć. Przetrzęsiono na nowo papiery, ale w tych nic a nic nie znaleziono... Rejestra dochodów od lat wielu wskazywały wydàtki i sumy z różnych wpływające źródeł, nigdzie jednak tak znacznego kapitału, jakiby ze sprzedaży klejnotów mógł pochodzić.

Nazajutrz pan Alfred zabrawszy corpus delicti, papiery... kilku ludzi, którzy mu jako świadkowie mogli być potrzebni, natychmiast odjechał nazad do Warszawy. We dworze popłoch, przestrach, żal, narzekania powstały ogromne; ludzie płakali i obwiniali jedni drugich... Szczególnie też zarzucano zdziecinniałej pannie Łowczance, iż musiała niestworzone popleść rzeczy. Ona sama poczuwała się w części do tego grzechu, płakała, zachorowała i trzeciego dnia potrzeba było posłać po doktora, gdyż słabość przybrała charakter groźny.

Gdy doktor wezwany z miasteczka przyjechał, Łowczanka już się na śmierć dysponowała... Uprzedził go ksiądz... Staruszka dogorywała... ratunku nie było. Umysł jej zbyt silnie wstrząsł ciałem osłabłem, które uderzenia nie wytrzymało...

Nim hrabia Alfred dojechał do Warszawy, Łowczankę wyniesiono na parafialny cmentarz.

Można sobie łatwo wystawić, jak pożądanym gościem dla hrabiny był syn, przybywający z tak ważnymi łupy, z nadzieją pomsty i tryumfu. Natychmiast posłano po prawnika, nie chcąc lekko poczynać, i odbyto naradę. Możliwość procesu była oczywistą, a w każdym razie jeźliby nie przyniósł owoców pożądanych, to jest odzyskania straty, przynajmniej na pewno mógł udręczyć i niepospolitej narobić wrzawy.

Skutkiem konsultacyi było, iż wypracowane zaskarzenie, o przywłaszczenie klejnotów po wojewodzinie przez jej wychowanicę Lenorę, podano do urzędu.

Wychowanica była cyganką i córką złodziejá!

Zapukano do drzwi... było jeszcze bardzo rano. Lenora zaledwie wstała i narzuciła szlafrok na siebie; zdziwiona podeszła ku drzwiom, odryglowała je, i w ciemnym kurytarzu ukazały się postacie jakieś niezrozumiałe, mundury... kapelusz, widocznie jakiś urzędowy orszak, który zaledwie posłyszał, że otwierano, popchnąwszy silnie podwoje, gwałtem się wcisnął do pokoju. Lenora była najpewniejsza, że się to stało omyłką, i chciała przeciwko najściu zaprotestować, gdy idący przodem w zapiętym fraku jegomość w okularach z papierami w ręku, prowadzący za sobą czeredę dość osobliwych figur omundurowanych... skłonił się z niechcenia i rzekł:

— Panna Lenora Zara... wychowanica śp. wojewodziny?

— Ja jestem...

Spojrzał przybyły: postać obwinionej tak była poważna i spokojna, że się chwilkę zawahał. Ale odbywanie ciągłych przykrych obowiązków oswaja z nimi i ściera z serca litość a odzwyczaja od grzeczności.

— Pani jesteś oskarzoną o potajemne przywłaszczenie sobie szacownych klejnotów po śp. opiekunce. Są pewne poszlaki, iż się one mogły w jej rękach znajdować. Jestem wydelegowanym do odbycia jak najściślejszej rewizyi i indagacyi.

Słowa te gromem zrazu zaszumiały w uszach sieroty, krew uderzyła jej do głowy; końca już nie dosłyszała... rozumiała jedno tylko, że ona była obwiniona o złodziejstwo. Ten cios zamiast ją przybić, oburzył i podniósł uczucie chłodnej pogardy... pomiarkowała, że gniew i protestacya pogorszyłyby położenie i objawiły słabość... Nieodpowiedziała zrazu nic... Przybyły widząc, że zdaje się nie rozumieć, o co chodzi, powtórzył dosłownie, z czem przyszedł.

Skinęła mu ręką wskazując pokoje oba, i drząc oddała klucze... A że uderzenie to nadto ją silnie wzruszyło, cofnęła się kilka kroków do krzesła, siadła, w rękach ukryła twarz i zapłakała cicho.

Ta rezygnacya chłodna, panująca nad sobą, tak dla urzędnika w okularach była rzeczą niezwyczajną, tak był nawykł do protestacyi niewinności, do łez i gadatliwości, iż fenomen ten psychologiczny niezmiernie go zdumiał, i napróżno sobie łamał głowę, czy on oznaczać mógł niewinność, czy stanowić dowód przeciw obwinionej.

Postawiono straż przy drzwiach... Zwolna rozpoczęło się przetrząsanie rzeczy drobnostkowych i zabieranie papierów. Otwarto komódkę, kufry, szafkę, rozrzucono suknie, bieliznę, posuwając dokładność aż do śmieszności i nadużycia. W jednem pudełku znaleziono razem wszystkie pamiątki kosztowne, darowane przez wojewodzinę, których była liczba znaczna dosyć wysokiej wartości; te urzędnik przy obwinionej opieczętował. Zabrano także papiery wszystkie...

W ciągu tego przetrząsania Lenora siedziała przybita czując, że wymierzony cios, choćby celu nie dopiął, miał na nią rzucić niezmazaną plamę. Mógłże się kto ująć za nią. Do godziny dziesiątej trwała umyślnie jakby przedłużona rewizya, o której cały już dom wiedział. Policya nie wpuszczała nikogo... krążyły domysły najosobliwsze. Około dziesiątej wywołano urzędnika. Był to doktor, który wypadkiem nadszedł, i oburzony chciał się dostać do Lenory, aby jej przynieść słowo pociechy, zaręczyć, że bądź co bądź przyjaciele jej nie opuszczą. Ale urzędnik, jakkolwiek dobrze znany doktorowi, tłumacząc się obowiązkami swoimi odmówił mu wnijścia. Był to jeden z tych ludzi słodkich przy okrucieństwie, którzy dobijają ofiarę kłaniając się i przepraszając...

— Słuchaj panie Welker — rzekł mu w końcu doktor zniecierpliwiony — zdaje mi się, że mnie posądzać trudno o skradzenie czegokolwiekbądź lub wspólnictwo takiego czynu, nie możesz więc się obawiać mnie wpuścić. Znam stan zdrowia tej nieszczęśliwej i niewinnej istoty, chcę ją widzieć jako doktor, nie puszczasz mnie składając się obowiązkami — dobrze. Muszę ci jednak to powiedzieć, że jeźli mnie jako lekarza potrzebować będziesz kiedykolwiek, możesz nie posyłać po mnie, bo nie przyjdę. Wcześnie sobie zamów innego.

— Ale konsyliarzu kochany, to sprawa kryminalna!

— Jak sobie chcesz... istotnie kryminalna, bo posądzeniem osoby szlachetnej i najoczywiściej niewinnej popełniacie kryminał.

— Cóż ja winien! — składając ręce zawołał urzędnik.

— Waćpan nic... bądź zdrów...

— No, chcesz waćpan na pięć minut — zawołał przestraszony indagator—no chodź; powiem, że zasłabła i żem ciebie wezwał z urzędu.

Doktor wszedł szybko, podążył do krzesła Lenory, ujął jej rękę i rzekł półgłosem: Bądź pani spokojną! jest to zbrodnia... ale ona nie ujdzie bezkarnie. Cokolwiek się stanie, zaklinam: chłodno i z rezygnacyą... przyjaciele nie

zapomną o was... Domawiał tych wyrazów, a sędzia już go oczyma wypędzał. Rewizya była skończoną... miano na miejscu rozpocząć indagacyą i protokół.

Odprowadziwszy doktora do drzwi, urzędnik miał pospiesznie powrócić, gdy ten go w progu zatrzymał.

— Cóż po protokole będzie?

— Zdaje się, że obwiniona zostanie uwięzioną — zimno rzekł okularowy — jeźli tu nie ma żadnych poszlak, to jeszcze nic nie dowodzi, znaleziono je w Muranowie, więzienie jest nieuchronnem.

Doktor pobladł, nie odpowiedział nic, spojrzał na biedną Lenorę, która już nabrawszy męztwa siedziała blada, spokojniejsza nieco, i wyszedł.

Nie będziemy obyczajem nowych powieściopisarzy dosłownie powtarzać tego badania protokolarnego, które często, gdy z obu stron w grze jest przebiegłość i zręczność, ciekawym staje się dramatem. Tu z jednej strony stała obojętna, bo przekonana o niewinności swej ofiara, z drugiej usiłujący ją wplątać nader zręczny indagator... któremu szło łatwo, a jednak koniec końców nic z zeznań wydobyć nie mógł.

Lenora słyszała wprawdzie o klejnotach familijnych, ale ich nie widziała nigdy i nie wiedziała, co się z nimi stało; nie domyślała się nawet, że owe pudełka, któremi bawiła się w dzieciństwie, znalezione pod szafą, mogły niegdyś owe drogie kanaki w sobie zamykać. Wojewodzina o nich nie wspominała nigdy. Te podarki, ktore u niej zabrano i opieczętowano, darowane jej były w różnych czasach na imieniny, w dzień nowego roku przez nieboszczkę. Do niektórych z nich przyłączone były jeszcze zachowane szczęśliwie karteczki, jako dowody pochodzenia i drogie pamiątki.

Głosem spokojnym, chłodno na wszystkie pytania bez namysłu dawała odpowiedzi. Tak samo przyznała, iż pochodzenie jej było wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bardzo upokarzające, ale się go zapierać nie myślała. Czy cygan Dżęga był jej ojcem lub się tylko wpierał w ojcowstwo dla uzyskania czegoś, Lenora nie była pewną. Tajemnicy wszakże z jego odwiedzin w Muranowie nie czyniła. Sędzia dziwił się jasności, dokładności objaśnień, spokojowi obwinionej; znajdował wszakże, iż jakkolwiek dowodów winy wyraźnych nie było, moralne podejrzenia istniały. A że życzenie hrabiów zawsze silniej ważyło na szali sprawiedliwości, niż niewinność cyganki, nie było powodu, ażeby jej nie wziąć do więzienia, pókiby inni świadkowie przesłuchani nie byli.

Gdy protokół został podpisany, sędzia z pewnem współczuciem objawił Lenorze, iż choćby chciał tej nieprzyjemności dla niej uniknąć, zmuszonym jest ją aresztować i do więzienia odesłać, zapewniając z tą słodyczą jemu podobnym istotom właściwą, iż więzienie nie jest tak straszne, jakby się zdawało... że ono nie hańbi itp.

Lenorze wszystko to zdało się snem jakimś bolesnym, słuchała i znowu zrozumieć nie mogła... przynaglona ubrała się machinalnie, osłupiała, chwiejąc się na nogach, bezprzytomna zbliżyła się ku drzwiom.

Tu stali policyanci, którzy jej towarzyszyć mieli, dalej tłum sług i mieszkańców pałacu wypełniał korytarz... cisnęli się wszyscy, aby zobaczyć owę piękną złodziejkę... podziwienie, ciekawość, oburzenie było niezmierne... Sto oczów zewsząd znalazła skierowanych na siebie... zrobiło jej się słabo... zdało się, że umrze, i potrzebowała całej siły ducha, aby módz zejść po schodach... Z góry, z dołu, mimo straży widać było głowy ciekawych i słychać szept nieżyczliwych, półuśmieszki złośliwe...

Taką drogą krzyżową ze śmiercią w piersi zeszła zwolna do stojącej w ulicy dorożki. Powóz dokoła był otoczony ludźmi gwarzącymi ciekawie, niespokojnie, nielitościwie... Wśród twarzy obojętnych i nieznanych Lenora dostrzegła także znajomych, bladą z wściekłości Zbigniewa, który się spinał na palcach, aby na nią spojrzeć... spokojną doktora, który się wstrzymał chcąc widzieć, jak ona to zniesie... Zdawało jej się nawet, że w pewnem oddaleniu przesunęło się nienawistne oblicze Alfreda... który jakby naumyślnie wychylał się z powozu.

Policyanci rozpędzali... dwóch ich siadło do zamkniętej dorożki i powozik poleciał po bruku.

Do więzienia! do więzienia! — brzmiało w uszach Lenory — do więzienia oskarzonej o złodziejstwo.

Wszystko to, co się względem niej dokonało, zdawało się spełnionem z umyślnem, wyrafinowanem okrucieństwem; dobijano ją, aby się nigdy podnieść, nigdy w świecie pokazać nie mogła...

Hrabina tego dnia tak była wzruszoną dokonanym czynem, iż mimo swej tuszy musiała się wachlując przechadzać po pokoju, czekając na Alfreda. Syn nadjechał milczący i zamyślony.

— A co? aresztowano ją?

— Aresztowano...

— Znaleźli co u niej?

— O ile wiem, tak jak nic...

— Spodziewam się, że na ten raz skończyliśmy z intrygantką — dodała pani — głowy już nie podniesie. Nie będzie dowodów, puszczą ją, ale podejrzenie pozostanie... pokazać się nigdzie nie będzie mogła, nikt jej salonu nie otworzy, i ta piekielnica Laura zostanie napiętnowaną jako przyjaciółka cyganki, córki złodzieja i złodziejki. — Alfred stał sobie milczący, zabierając się do zapalenia cygara; matka z nieukontentowaniem widziała, iż nie podzielał jej świetnych nadziei i zdawał się zafrasowanym.

— No cóż, ty nic nie mówisz? — zapytała.

— Spełniona wola mamy — rzekł Alfred — ale ja, przyznaję się, nie jestem zadowolony z tego wszystkiego. Ona zabita... to prawda, my też sobie przyjaciół nie pozyszczemy.

*

— Mniejsza o tych tam przyjaciół! zemszczę się... A proszę cię! ty ich nie znasz, dam bal, wieczór, obiad, wszyscy przyjdą... Jesteśmy bogaci! za pół roku ci, co na nas krzyczą, będą się łasić, żebym ich wpuściła do domu.

Syn nie zdawał się zupełnie o tem przekonanym.

— Żebyś mi tylko nie zapomniał pojechać na Św. Jerską i poprosić redakcyą, żeby bez wymienienia imion, jako ciekawą sprawę sądową, historyą Laury wydrukowali. I postarać się przez radcę, żeby cenzura przepuściła. Poprosić tych panów w Kuryerku, żeby artykuł powtórzyli. Niewiarowskiemu dać butelek parę szampańskiego, to on ci to napisze...

Alfredek głową dał znak, że słucha.

— To koniecznie potrzebne — dodała hrabina — proszę, aby to było zrobione... Na to przeznaczam sto rubli...

Wsunęła papierek synowi, który go schował do kamizelki obojętnie.

— Już tylko mnie słuchaj w tej sprawie, a ja ją poprowadzę, jak należy...

— A jeżeli sprawa się niedobrze skończy? — spytał Alfred.

— Jakiż ty jesteś... tchórz! — zawołała Pyza, stając czerwona naprzeciw niego — Czyż ona może się źle skończyć? ona już jest skończona.

Alfred zamilkł.

Pani Laura ubierała się mając wyjść z domu, gdy nie oznajmując się nawet wszedł do niej doktor... Jedno wejrzenie nań dawało się domyślać, że przychodził z czemś ważnem i bolesnem, tak że uśmiech, który się już na ustach gospodyni wykluwał, zamarł w powiciu.

— Nie mam czasu — zawołał stary — przychodzę tylko powiedzieć pani o nieszczęściu, jakie pannę Lenorę dotknęło. Hrabina podała zaskarżenie, iż podejrzewa ją o kradzież familijnych klejnotów i ma pewne dowody moralne... zesłano rewizyą i — oskarżoną zawieziono do więzienia...

Laura stała z załamanemi rękami, nie mając siły odpowiedzieć.

— Byłem nieraz świadkiem scen okropnych, męczarni fizycznych, śmierci bolesnej, walki ostatnich sił żywota z niszczącemi siły przeznaczenia, ale nie pamiętam — odezwał się doktor — abym co straszniej, okrutniej bolesnego w życiu widział nad ten czyn brutalskiej zemsty. Jestem przekonany, iż ani hrabina ani syn jej nie wierzą w to, o co ją obwiniają...

— Ale co począć! Co począć! czyż ją pod tym ciosem rzucić! czy ją opuścić, nie przyjść jej w pomoc? A! doktorze, ty radź...

— Ja zrobię, co okoliczności dozwolą, pani w społeczeństwie podnieś krzyk oburzenia! Nie wahaj się stawać w obronie.

— Oskarżona o złodziejstwo, córka cygana! — mruczała Laura. — Wystawże sobie konsyliarzu, jak ludzie radzi głupiemu skandalowi, cieszyć się będą z tego.

— Wpływ pani powinien to uczucie zmienić w oburzenie — dodał gorąco lekarz. — Ja użyję moich znajomości, stosunków, powagi, aby co najrychlej dopomódz sierocie... pani i jej i siebie powinnaś bronić, boś jej okazywała współczucie. Pani możesz wiele, i spodziewam się, że wiele uczynisz... Na te słowa hałas dochodzący z przedpokoju, coś jakby sprzeczka ze sługą i domaganie się wpuszczenia... przyszły doprowadzając niecierpliwość gospodyni do najwyższego stopnia.

Po chwili sprzeczki drzwi gwałtownie odparto, i wpadł blady, z rozrzuconymi włosami młodzieniec nieznajomy, który nie zważając na grożącego lokaja, z oznakami niepokoju oszalałego, przyszedł do pani Laury.

— Pani — zawołał — przychodzę cię w imieniu najokropniej uciśnionej niewinności błagać o ratunek! Panna Lenora, ten anioł dobroci... ta istota najczystsza... przed chwilą z okrucieństwem bezlitośnem porwaną została do więzienia. Panna Lenora Zara! Pani ją znasz! Wychowanka wojewodziny. Ten anioł! O! mój Boże! kto mógł się takiego dopuścić występku... to ją zabije...

— Uspokójże się, panie Zbigniewie — przerwał doktor.

— Znasz tego pana? — spytała Laura.

— Pani, ja i moja matka jej winniśmy wszystko... to była dobrodziejka nasza... jej serce! A, pani — dodał ze wzruszeniem obłąkanem — ja nie wiem! ja gotów jestem.... sam siebie obwinić o niewiem jaką zbrodnię, przyjąć na siebie winę, pójść i głowę dać za nią... byle ją uwolnić!

— Cicho, cierpliwości — rzekł doktor — napij się wody, zacny panie Zbigniewie, zapał ten z wdzięczności pochodzący przynosi panu zaszczyt; ale przypuść, żebyś mnie tu nie zastał, żeby ta pani nie wiedziała kto jesteś, coby o tobie pomyślała?

— O mnie! — zawołał Zbigniew — alboż tu idzie o mnie? Niech ja zginę, byle ona ocaloną była! Ale o cóż ją oskarżyć mogli!

Gospodyni domu, słuchając tego wybuchu, patrzała z zajęciem na chłopaka wybladłego, zbiedzonego, obudzającego litość swą postacią znędzniałą i ubogiem ubraniem, a tyle mającego w duszy ognia i uczciwego zapału.

Nie można się było omylić, że przez niego mówiło więcej niż wdzięczność, że w głosie, w wejrzeniu była miłość zapamiętała, ognista, młodzieńcza... Dla takiego uczucia którażby z niewiast nie okazała najżywszej sympatyi? Pani Laura spojrzała nań czule, sama podała mu wody, od której odskoczył zdziwiony, i odezwała się.

— Ale uspokójże się waćpan... zrobimy, co jest w ludzkich siłach, aby tę niecną intrygę wyjaśnić... i nieszczęśliwą ofiarę uwolnić.

Zbigniew począł ręce całować pani Laury, potem ramiona i kolana doktora.

— A! państwo jej jak ja nie znacie, nie widzieliście jej inaczej, jak w salonie artystką jenialną, świetnem zjawiskiem... ja ją widziałem u łoża chorych, siostrą miłosierdzia, opiekunką wieśniaków, matką sierot, sługą tych, co ich nie mają... ja ją widziałem anielską... świętą.

Laura się uśmiechnęła.

— I zobaczysz ją pan tryumfującą nad potwarzą. Na pomstę takich czynów jest Bóg, on nie dopuści zwycięstwa złym... Idź pan spokojny...

— Spokojny? — podchwycił Zbigniew — mogęż ja mieć chwilę spokoju wiedząc, ze ona jest w więzieniu!

Zakrył sobie twarz rękami...

Doktor w tej chwili wstał i ujął go za ramię.—Chodź pan ze mną — rzekł — nie przeszkadzajmy pani, która potrzębne środki przedsięweźmie...

I prawie gwałtem wyprowadził go z salonu. Ledwie drzwi za nimi zamknęły, pani Laura poczynała się ubierać, blada i gniewna, gdy lokaj oznajmił wizytę. Chciała jej nie przyjąć, ale ją uderzyło nazwisko lorda... owego młodzieńca, który od pierwszego wieczora nie przestał największej sympatyi okazywać dla Lenory. Pomyślała, iż jego wpływ i dobrą wolę zużytkować może.

— Prosić — rzekła.

Lord wszedł jak zawsze sztywny, chłodny, nie okazując najmniejszego wzruszenia... przywitał się, usiadł na wskazanem krześle, spojrzał na zegarek.

— Pani się wybiera?

— Nie, nie, nie myślałam wyjść z domu.

— Ja właściwie — rzekł powoli lord — nie przyszedłem z wizytą, ale prawie z interesem. Czy nie mogłaby pani, u której miałem przyjemność po raz pierwszy widzieć pannę Lenorę Zara, wytłumaczyć mi, co się przed kilku godzinami u niej stało. Plotą mi takie banialuki....

Laura przysunęła się do lorda. Jakkolwiek nawykłą była trzpiotać się, spieszyć, paplać, uczuła wpływ tego temperamentu zimnego na pozór, powolnego, rozważnego i... zmusiła się do poskromienia swej żywości... Zaczęła mówić zwolna.

— Jest to historya, o której dopierom się przed chwilą dowiedziała... całą mnie drżącą od gniewu i oburzenia hrabia znalazłeś. — Słyszałeś pewnie, iż nieboszczka wojewodzina kochała tak swą wychowankę, iż z nią siostrzeńca ożenić chciała... Wychowała ją, jak hrabia widziałeś... Ale po śmierci wojewodziny, pani hrabina (przepraszam, że ją tak nazywam) i jej syn postanowili pomścić się na sierocie okazywanego dla niej przywiązania... Wypchnięto ją z domu... zaprzeczono zapisu... odarto z własności, naostatek gdy to nie pomogło, aby ją oddalić i zmusić do skrycia się gdzieś... oskarzono o... kradzież familijnych klejnotów... które w sposób niewiadomy znikły.

— O kradzież! — zawołał drgnąwszy lord, którego brwi się namarszczyły. — Ją, o kradzież! to infamia! to zbrodnia... To — przepraszam panią — to chyba fałszywe doniesienie...

— Tak jest, niestety — dodała Laura — proszę mieć na względzie, iż ona jest prawdopodobnie córką cygana... i że ten zarzut staje się niejako pochodzeniem uprawdopodobniony...

— Ale dość jest mówić z nią półkwandransa... dość na nią spojrzeć, aby taką potwarzą być oburzonym...

Lord się zamyślił głęboko...

— Rachuba niecna... okrutna ale głęboka — dodała Laura — nie dowiodą rzeczy niemożliwej, ale plama zostanie. Sierocie, córce cygańskiej, więzienie wypiętnuje na czole stygmat niezmazany... Oto im idzie...

— Przepraszam panią, ja myślę, że stygmat odbije się na czołach niegodziwych prześladowców — rzekł lord okazując więcej współczucia, niżby się po jego charakterze można było spodziewać.

— Co pani myślisz począć? — zapytał po przestanku — bo nie wątpię, że nie pozostawisz jej bez obrony?

— Radź mi hrabio, jeźli jej życzysz dobrze... radź, proszę...

Lord się zamyślił ponuro.

— Gdyby to było w Anglii — rzekł — potrafiłbym może coś na to... Dosyć by było kaucyi do uwolnienia... tu, ja nic nie rozumiem. — Pierwszą jednak rzeczą jest, by co najprędzej uwolnioną została. Miarkujesz pani, jaki na wrażliwym umyśle tej istoty wywrze skutek... więzienie... obejście z nią ludzi bez czucia... nawykłych do pospolitych zbrodniarzy... Któż wie, może towarzystwo najohydniejszych przestępców i najrozpustniejszej hałastry...

Hrabia się wzdrygnął.

— A! — rzekł zcicha — są jeszcze tragedye żywe, tak prawie straszne ironią losu jak Shakespearowskie.

I podał rękę pani Laurze.

— Jeźli ja mogę być w czém użytecznym pani — odezwał się uroczyście — proszę mną rozporządzać. Czuję się w obowiązku dla osoby, która mnie prawdziwym natchnęła szacunkiem, okazać go czynem, i nie cofnę się od żadnej ofiary.

— Panie hrabio — odpowiedziała Laura — z waszej strony dosyć będzie nie tajonego oburzenia, aby podziałało skutecznie. Opinia u nas zawsze jest na rozkazy ludzi, jak wy znanych z charakteru niezależnego... Dosyć będzie głośno wypowiedzianego przekonania, aby ona poszła za nami... a bądź co bądź jeźli ogół potępi ten krok, ci co go uczynili... będą zmuszeni się wycofać...

Lord skłonił się w milczeniu...

— Żegnam panią; proszę mnie liczyć do rzędu jej pełnych szacunku przyjaciół.

Izdebka, którą tymczasowo przeznaczono dla Lenory, była ciemną, wilgotną, zatęchłą i podobną do wszystkich swych sióstr więziennych w kraju, w którym po staremu więzień już przez to, że został przytrzymanym, wydaje się winowajcą, i począwszy od pierwszej chwili aresztowania... jest karanym, choć nieprzekonanym o istotę czynu...

Lenora znalazła się w niej przejechawszy nieprzytomnie ulice Warszawy, sama nie wiedząc, jak ją do niej wepchnięto. Chrzęst ryglów, które za nią spuszczano, obudził ją z odrętwienia... Obejrzała się... Choć biały dzień był jeszcze i rano, przez zapylone szyby niewielkiego okna, do pół zabitego deskami, mało się przeciskało światła. W framudze pod nim maleńki brudny stoliczek, tapczan z desek niczem nie okryty, jeden stołek prosty, piec polepiony świeżo... ubierały stosownie tę celę... grobową.

W powietrzu brak było tego, co życie daje, oddéchając niem czuło się, że ono zabija nie karmi... Woń trupia i mdła i wilgotna, zmieszana z tysiącami wyziewów murów i ludzi, pleśni, wilgoci... w zamknięciu szczelnem stała się jakąś atmosferą zabijącą. Chłód przenikliwy dał się raz pierwszy uczuć dziewczęciu, które po rozgorączkowaniu rannem uczuło dreszcze, przebiegające jak zwiastuny choroby...

Chciała płakać i nie mogła; zdało się jej, jakby coś łzy trzymało wezbrane... usiadła na twardym tapczaniku, podparła się o stół chwiejący i tak pozostała, zobojętniała na wszystko... Pragnęła umrzeć... ale w cierpieniu pragnienie to jest znakiem, że życia ma człowiek wiele... pomyślała, że mogłaby się może głodem zamorzyć... potem jakby na urągowisko przyszła jej na pamięć kochana matka przybrana, która ją tak pieściła, dnie wesela... szczęścia... pieśni... swobody, młodości.

Szukała w duchu, czemby zawiniła, że ją Bóg karał tak srodze: nie mogła zrozumieć cierpienia bez wiary; odpowiedziała sobie — iż w piśmie stoi słowo niezmazane o cierpieniu dzieci za ojców winy do pokoleń wielu... — Jestem dzieckiem wyklętego plemienia, może ojca winowajcy? Bóg chce expiacyi, i poddać się jej potrzeba. Ale dla czegoż ranek życia tak mi się wdzięcznie uśmiechał? Któż zrozumie swe przeznaczenie??

Dreszcze zaczęły się zwiększać... otuliła się chustką... jakiś półsen nią owładnął... łza pocisnęła się przez powieki powoli, a za nią popłynęły strumienie długo tłumione... Oparła się o mur... straciła przytomność, i ciemności, wśród których jakieś niewyraźne snuły się kształty... szumiały głosy... otoczyły ją dokoła.

Z równem oburzeniem temu, które wywołała wiadomość o uwięzieniu Lenory, przyjęto artykuł gazety, opisujący złośliwie przygody zagadkowej istoty, podrzutka „przez znakomitą damę, na umyśle skutkiem lat podeszłych osłabioną“, przybranego niemal za dziecię, zepsutego pieszczotami i t. d... Nadesłany ten artykuł, z komentarzami różnemi rozchodząc się po mieście i po prowincyi, obudzał ciekawość, jak każda sprawa tajemnicza. Opowiadano sobie obok tego, co on mieścił, szczegóły pochwycone nie wiedzieć zkąd, a raczej zmyślone po prostu. Kamerdyner Franciszek z Muranowa, wezwany do Warszawy, odprawiony potem nazad na wieś, gdyż służby u hrabiny przyjąć nie chciał, powiózł go tam, gdzie wspomnienie Lenory żywe jeszcze obudzało szacunek dla niej i wdzięczność. Franciszek chodził z tym numerem, czytał go i płakał...

Drugiego dnia po przybyciu jego, gdy się wieść o uwięzieniu rozeszła... chłopak przybiegł od księdza proboszcza, wzywając go, aby się koniecznie pofatygował natychmiast i przyniósł z sobą owę warszawską gazetę.

Franciszek pospieszył na wezwanie i zastał proboszcza niespokojnie przechadzającego się po pokoju plebanii. Był to mąż lat niepodeszłych jeszcze, w sile wieku, energiczny, małomowny, ale znany z prawości charakteru. Za życia wojewodziny codzienny gość we dworze, zyskał był jej przyjaźń i zaufanie, od jej śmierci czuł się tak osieroconym jak inni...

— Mój panie Franciszku — począł spiesznie występując naprzeciw niego, jakby mu pilno było niezmiernie coś się od niego dowiedzieć—mów że mi, co się tam stało! Uszom nie wierzę! Czyż może być, aby pannę Lenorę aresztowano...

— A! księże proboszczu, najprawdziwsza prawda... Choć to rodna siostra tej świętej naszej pani, ale... a! niech jej Bóg przebaczy...

— Za co? Za co aresztowano? podchwycił proboszcz...

— Któż to zrozumie? Mówią o jakichś klejnotach familijnych, które bez wieści znikły. Pan Alfred znalazł od nich pudełka w pokoju panny Lenory...

— Cóż to były za klejnoty?—zawołał proboszcz... mów!

— Ja nic nie wiem. Musiały być bardzo drogie. Ale cierpiąca pani żyła długo, przeżyła rewolucyą 1830 r.; wiemy, że wiele dawała wszystkim... mogła sprzedać, mogła darować... czy pierwszemu czy drugiemu mężowi.

Ksiądz chodził niespokojny...

— Ale jakże mógł kto posądzić nawet tę zacną pannę naszę!—zawołał—ją, co gdyby była tylko chciała, mogłaby była wszystko sobie zagarnąć; ją, co się wypraszała od darów i serce wojewodziny, dla rodziny ostygłe, nakłonić się ku niej starała... gdyby nie ona, grosza by po nieboszczce nie wzięli.

Kamardyner ramionami ruszył.

— I to, proszę jegomości — odezwał się — jak prostą złodziejkę w biały dzień policya zabrała w obec całego miasta... Przetrzęśli dom... rozgłoszono, rozbębniono.

— A! to już niepoczciwa zemsta — zawołał ksiądz oburzony.—Stałem dotąd na uboczu, nie mieszając się do niczego, ale z powołania mego i obowiązku... muszę przyjść

ze świadectwem prawdzie... tem bardziej — dodał — że mam od nieboszczki zlecone czuwanie nad sierotami.

Ksiądz się zadumał.

— Mówili zawsze na wojewodzinę, że była słabomyślną — rzekł — myśleli, że nic nie widzi i ludziom się daje łatwo oszukać; ale wierzcie mi, panie Franciszku, ta święta niewiasta miała przeczucia, znała dobrze swoich, widziała jasno, co się stać może... Nie dowierzała ona do ostatka ani siostrze, ani narzeczonemu niby Alfredowi, i potrafiła obwarować na wypadek tego, co się właśnie stało, sierotę, której losem się zajęła... To cud łaski Bożej.

— Ale co, księże proboszczu? — zapytał Franciszek ciekawie... co?

— To co ja wiem i mam w kieszeni... ale cicho... nie trzeba nic mówić... Ja jutro do Warszawy jechać muszę... Godzina wybiła, nie ma co dłużej czekać. Nie dosyć, że jej wszystko wydarli... jeszcze potwarz i więzienie!

Franciszkowi aż się oczy stare zapaliły.

— Jakto! ojcze! dobrodzieju kochany! wybyście na to mieli jaki ratunek? wy... doprawdy?

— Tak jak mnie żywego widzisz—rzekł ksiądz spokojnie— Wolą Bożą, było aby cnota pohańbioną została i upadła tak nizko... dla jej tem świetniejszego tryumfu... Zmuszono mnie do tego kroku... Jutro jadę do Warszawy...

Franciszek w rękę go pocałował... Z jego radości ksiądz posądził, że się wypaplać może. Położył palec na ustach:

— Tylko ani słowa... proszę!.. ze złymi trzeba ostrożnie, aby środków nie szukali nowych do uciemiężenia...

— Przecież ojcze... dobrodzieju — obrażony odparł Franciszek—znałeś mnie i za życia nieboszczki... że język umiałem trzymać za zębami.

— A teraz jeszcze bardziej!! motus! Jeźli będą mówić o wyjeździe moim, powiecie, żem po oleje pojechał... Nie skłamiecie, bo i tych zabrakło... Tak! po oleje... A jaka tam droga?

— Zła, mój ojcze... na stare kości.

— A! no, jak trzeba to trzeba... Czy asindziej masz tu jakie obowiązki? — zapytał proboszcz.

— Żadnych! Hrabina chciała mnie wziąć do siebie; odmówiłem, bom stary i u nich służyć!! u nich! za nic... dali mi tedy abszyt...

— To jedź ze mną — rzekł proboszcz... Dla bezpieczeństwa... powiozę z sobą papiery ważne, a Moskaliska się włóczą, a drogi nie znam. We dwóch ludzi będzie raźniej, biorę cię na mój koszt.

— Ale jak tylko to dla panienki, pojadę na swoim! — ofuknął się Franciszek — jabym dla niej na kraj świata poszedł piechotą...

— No... i taką zacną, poczciwą... do więzienia jak złodziejkę! — zawołał ksiądz łamiąc ręce — Nie jest że to dopust Boży, aby ten dyament się w ogniu i łzach wypróbował!!

Fiat voluntas tua! Jeszcze szczęście, żem się o tem w porze dowiedział! Jutro o świcie w drogę, nie trzeba czasu tracić...

— Jam gotów dziś — rzekł Franciszek.

— A ja nie! — dodał proboszcz... i mów asindziej, że po oleje...

Uradowany stary sługa, choć niezupełnie wierzył w skuteczność interwencyi proboszcza... pobiegł zaraz wszystko do podróży sposobić.

Nazajutrz wózek trzema konikami zaprzężony wytoczył się z dziedzińca plebanii i posunął gościńcem ku stolicy.

C. d. n.

U WYŁOMU.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

NAPISAŁ LEOPOLD HR. STARZEŃSKI.

(CIĄG DALSZY).

AKT TRZECI.

(Pokój w pałacu Marszałka).

SCENA I.

EABIAN. LOKAJ.

FABIAN (wchodząc z Lokajem)

Masz jeszcze rubla! — Przestań pleść androny!
Już wiesz, że jestem przyjacielem domu.
Zamelduj! — Pan twój będzie ucieszony.

LOKAJ.

Doktor jest teraz — i więcej nikomu
Wejść tam nie wolno. — Pan chory od rana —
Wstęp zabroniony dla wszystkich, wyraźnie.

FABIAN.

Więc tam jest doktor?

LOKAJ.

A — jest — proszę Pana.

FABIAN.

Mnie przyjmie jednak.

Lokaj (wahając się)
Kiedyż...

Fabian
(wypycha go do gabinetu po lewej)
Idźże — błaźnie!...

SCENA II.

FABIAN (sam)

Pewnie ucieszą go te odwiedziny,
Bo znów przybywam w roli wdzięcznej swata
Żądać — by spiesznie odbył zrękowiny;
Dobra Marszałka — to niezła zapłata.
(siada i mówi po chwili)
Ta garstka rubli — co dają Moskale —
To grosz dziadowski za moje usługi.
Nie zadowolnię się jałmużną wcale —
Mnie dobra, chresty, pałace i cugi. —
Wszak pan marszałek to wszystko posiada;
Choć ja mam prawa równe w każdym względzie,
To sprawiedliwość już sama powiada:
Panem tych włości — Szymon Turczak będzie.
(miarkuje się)
Szymon?!... Nie—Fabian Borski—chciałem mówić.
(z gniewem)
Że na języku to imię się pląta!
Wstydź się, Fabianie! — gotowi cię złowić
Na tem imieniu — co twą myśl zaprząta.
(wstaje i przechadza się przez chwilę po pokoju)
Byle Edwarda czemprędzej ożenić!
On jest najlepszem narzędziem w mem ręku...
Szkoda, że trudno Alexego zmienić!
Lecz... mój duch-szatan nie utknie na sęku.
Ów list marszałka — i te dokumenta —
To zdoła zwaśnić — choćby z bratem brata.
Ku zdań złączeniu praca rozpoczęta
Pryśnie przed jednym wyrazem: „prywata“.
Sądziłem: wpływem Alexy usłuży —
Lecz — przed nim jasno nasze plany stają;
Mógłby zaszkodzić!... Nie trza czekać dłużej...
Już chłopomana straże w Sybir gnają.
(śmieje się — po chwili z zastanowieniem)
Słyszałem jednak — że władza tajemna
Jest na mym tropie — że ma doniesienie
O moich sprawkach... Ej!... precz maro ciemna!
W obozie Moskwy znajdzie się schronienie,
A przed tamtymi... mam płaszcz patryoty,
Który tak u nas nieprzejrzystym bywa
I przed oczyma ulicznej hołoty
Tak dobrze wszystko, co trzeba, ukrywa.
Mnie w nim do twarzy, bom trybun ludowy —
A co pod płaszczem — któż dostrzeże potem?
Byle odważnie — na ciekawych głowy
Ciskać obelgą, potwarzą i błotem. —
Gdy się tu skończy z moją tajemnicą,
I niebezpiecznie będzie z tą odzieżą,
To w dalszych stronach — albo za granicą
Znajdą się tacy, co mi znów uwierzą.

SCENA III.

FABIAN. LEKARZ. LOKAJ.

Lekarz (do lokaja)
I czegoż żąda ten pan nieznajomy?

Lokaj (wskazując Fabiana)
Tu jest.
(odchodzi)

Fabian (na stronie)
To lekarz. —

Lekarz.
Niechaj pan wybaczy,
Lecz pan marszałek cierpiący, strudzony,
Przyjąć mie może.

Fabian.
O! to nic nie znaczy!
Moja wizyta jemu zawsze miłą!
Dawny przyjaciel — co z Sybiru wraca —

Lekarz (nagle — z zajęciem)
A!... więc pan jesteś?...

Fabian (na stronie)
O! — już się wykryło!
To jeden z tamtych!...
(głośno)
Marszałek odpłaca.
Wiernie mą przyjaźń. — Jakże jego zdrowie?

Lekarz.
Mocno cierpiący. — Ale pan być musi...?

Fabian.
Kim jestem — o tem się pan łatwo dowie,
Gdy dasz odpowiedź na hasło: „Syn Rusi“.

Lekarz.
„Wolność i równość“ hasłem odpowiadam.

Fabian.
Więc już się znamy. — Nietrzeba iść dalej —
Bracie! w twe dłonie, dłoń z ufnością składam,
Jak byśmy się już od kopy lat znali.
(na stronie)
Dobrze znać hasło! Nowa rybka w sieci!
(tajemniczo do lekarza)
Cóż nam donosi znów najwyższa władza?

Lekarz.
Rozkaz ostatni wielką trwogę nieci:
Na trop sławnego szpiega naprowadza.

Fabian (pomieszany)
Szpiega?...

Lekarz.
Niezwykłych wpływów, przebiegłości —

Fabian.
I cóż ztąd?

Lekarz (wyjmuje papiery)
Daną jest instrukcya taka:
Zgładzić tę hydrę zbrodni i podłości,
Jest obowiązkiem każdego Polaka.



Wypoczynek flisaków wracających z Gdańska.

Do przedwczesnego on lud burzy kroku,
Pod nazwiskami różnemi jest znany,
Mieni się więźniem z trzydziestego roku —
Wyrokiem władzy na śmierć jest skazany.

FABIAN.

Znają go?

LEKARZ.

Aby z tym człekiem wyrodnym
Raz koniec zrobić — znajdą się sposoby.

FABIAN (na stronie)

Jakoś nie czuję się całkiem swobodnym!

LEKARZ (patrząc w pismo)

Najdokładniejszy mam opis osoby.
(w miarę jak czyta, wpatruje się coraz bardziej w Fabiana)
Wzrostu słusznego... Lecz... to podobieństwo!...

FABIAN (na stronie)

Cóż on się na mnie tak patrzy znacząco?

LEKARZ.

Oczy i usta..
(na stronie)
Ale to szaleństwo
Przypuszczać nawet...

FABIAN (na stronie)

Czegoś mi gorąco! —

LEKARZ.

(na stronie, ciągle spoglądając w pismo)
Jego strój cały.... Nie do uwierzenia!...
Z rot aresztanckich wypuszczon przed rokiem..

FABIAN (zabierając się do odejścia)

Chciałbym już odejść.

LEKARZ (na stronie)

Nie... nie ma wątpienia!...
Na czole blizna po nad prawem okiem!
(chwytając Fabiana za rękę — grzmiącym głosem)
Szymonie Turczak!...

FABIAN

(bardzo pomieszany i przerażony)
Co?... Kto się tak mieni?...

LEKARZ (na stronie)

Pobladł! —
(głośno)
Zbrodniarzu!—już jesteś zdradzony!
I twoje miejsce śród piekielnych cieni.
Wyrok twój zapadł!...

FABIAN (wyrywając mu się)

Puść mnie!... tyś szalony!...

SCENA IV.

FABIAN. LEKARZ. MARSZAŁEK. WANDA.

MARSZAŁEK. (w szlafroku wbiega)

Co się tu dzieje?...

WANDA.

Nie wychodź — mój ojcze!

MARSZAŁEK

(staje jak skamieniały na widok Fabiana)
On... znowu!...

FABIAN.

Jesteś, marszałku mój drogi!

WANDA (do ojca)

Lekarz wyjść wzbronił, bo to jest zabójcze
Dla twego zdrowia. — Zważaj na przestrogi!

FABIAN (do marszałka)

Wybaw mnie z szponów tego tu młodzieńca,
Który tam we mnie Bóg wie kogo widzi.
Ty — przyjacielu! przekonaj szaleńca,
Że mnie niewinnie oczernia, ohydzi.

MARSZAŁEK.

Co?... co to znaczy?

LEKARZ.

Wszystko przekonuje,
Że Szymon Turczak — szpieg sprawie szkodliwy,
Jest ten... (wskazuje Fabiana)
Sąd tajny na śmierć go skazuje,
On w naszej mocy... ztąd nie wyjdzie żywy.

MARSZAŁEK (do siebie, z radością)

Na śmierć!...

FABIAN.

Marszałku!—Patrz, jaką zniewagę
Od tego człeka w twoim domu znoszę!
Ja liczę teraz na twoję powagę;
Ujmij się za mną!... no... ujmij się! — proszę!...
(wpatruje się w niego znacząco)

MARSZAŁEK (na stronie)

On ma te pisma!

FABIAN.

Powiedz mu, kto jestem;
Żeśmy od młodu kolegami byli,
Żem twój przyjaciel — a w roku trzydziestym...
Że... naszej sprawie wspólniśmy służyli. —

MARSZAŁEK (jąkając się)

Tak... to jest prawda... on mi dobrze znany...
Fa...

FABIAN (podpowiada szybko)

Fabian Borski.

MARSZAŁEK.

W Sybirze przebywał...
To... mój przyjaciel...

FABIAN (czule ściska jego rękę)

Marszałku kochany!

MARSZAŁEK.

O!... nieodstępny!... W moim domu bywał...
I wspólna dola razem nas związała...
On mój towarzysz... służyliśmy razem....

WANDA (na stronie).

Dziwna — żem jego nigdy nie widziała.

Marszałek.

Za niego... ręczę...

Lekarz

(z odmiennem usposobieniem, bardzo zmieszany)

Przed takim wyrazem
Usprawiedliwiać to moje szaleństwo
Jest nie podobnem. — Takie przewinienia!...
Lecz... z tym opisem — dziwne podobieństwo...
Czuję, że dla mnie nie ma przebaczenia!

Fabian.

Nie — pan się mylisz. — To zapał dla sprawy, —
I ten w mych oczach czyni cię cenniejszym.
Chętnie przebaczam. — Nie miej tej obawy!
Lecz bądź na przyszłość nieco oględniejszym.

(podaje mu rękę, którą lekarz ściska)

Lekarz.

Szlachetny! (do marszałka)
Chciej pan spocząć! — bo w tym stanie
Spokój — mem zdaniem — na teraz koniecznym.

Fabian.

Chwilkę — Ja proszę wprzód o posłuchanie. —

Lekarz.

Nie — trud umysłu byłby niebezpiecznym. —
Więc jako lekarz sprzeciwić się muszę.

Wanda (patrząc przez okno)

Któż tak dziedzińcem spieszy?... O! mój Boże!
Alexy!...

Fabian (przerażony)

Jakto?

Wanda.

On — na moję duszę!
Szaty w nieładzie...

Fabian.

Nie... to być nie może!

Marszałek.

Nie chcę go widzieć!

Fabian (na stronie)

Dowiedzieć się muszę!

Wanda.

Tak... tutaj idzie!... już — już jest przy bramie!

Fabian (na stronie)

On!!!... Kogoż wzięły straże przywiedzione?...

(uderzony myślą)

Ha!... na Edwarda tam spadło ich ramię!
Trza go ratować — lub wszystko stracone!

(wybiega w głąb)

SCENA V.

CIŻ prócz FABIANA.

Lekarz (do marszałka)

Cóż pan tak drżący?...

Marszałek.

Ratuj mnie — doktorze,
Przed ową chwilą stanowczą i groźną!

(pada na fotel)

Lekarz.

Uspokój się pan! — I cóż to być może?...

Marszałek.

On mnie zabije!... Nie wpuść go!...

(Alexy ukazuje się we drzwiach)

Za poźno!...

SCENA VI.

MARSZAŁEK. WANDA. LEKARZ. ALEXY.

Alexy.

(we drzwiach, odtrącając lokaja, który go nie chce wpuścić)

Puść mnię! Wejść muszę!

Wanda (na stronie)

Co za wzrok straszliwy!

Alexy.

Staję przed wami...

Marszałek

(do lekarza, głosem drżącym)

Weź ztąd tego człeka!

Alexy.

Bom cię chciał spytać — starcze nieszczęśliwy!...
Lecz... z waszych spojrzeń widzę, co mnie czeka.

Wanda.

Alexy! — przebóg! — miej litość nad nami!

Lekarz (do Alexego)

Czy chcesz śmierć zadać choremu starcowi?
Odejdź ztąd!... Odejdź! taki czyn cię plami!
Czy mam cię zmusić?

Marszałek (do lekarza)

Zostaw go!... niech mówi!

Alexy

(po chwili, z wrastającem wzruszeniem

Nie — jam przewinił, że mogłem uwierzyć...
Wy mi przebaczcie ten wybuch rozpaczy!
To myłka... Panie! — czyż byś mógł uderzyć
Tak w moje serce?... Panie! — cóż to znaczy?

Marszałek.

Alexy!... dziécię!...

Alexy.

Tyś mię zwał twym synem,
Tyś mnie wykarmił kęsem twego chleba;
Czyż byś zabijał tak okrutnym czynem?
Ty — coś w jej oku sam wskazał mi nieba?
Nie — nie — z żadnego nie uwierzę względu; —
Ten list — com widział własnemi oczyma,
Pisałeś chorym... lub w chwili obłędu...
Cóż ja wiem?... Boże!... lecz w nim prawdy nie ma
List do Edwarda... błagam najgoręcej!...
Powiedz!... to jest fałsz?... próżno mnie strwożono?...

MARSZAŁEK (z wysileniem)
To los tak kazał. — O! — nie pytaj więcej!
Alexy! — Wanda nie będzie twą żoną.

ALEXY (przerażony)
A więc to prawda?... Mimo twego słowa?
Danych obietnic? — Rozumiem co znaczy:
Dobyta z pleśni twa duma·rodowa! —
Gdzieżby twą córkę mógł wziąć syn kozaczy?

MARSZAŁEK.
Nie — ty się mylisz...

ALEXY.
O! — szlachetniej było,
Trzymać mnie sługą na razowym chlebie,
Tak, by się w mózgu mym nie rozwidniło,
A wtedy byłbym błogosławił ciebie.
Tyś wziął za swoje — to kozackie dziecię,
I jak ptaszynę zamknął w klatkę złotą.
Na toś mi światło wskazał na tym świecie,
By mnie zapoznać ze zgryzot ciemnotą.
(po chwili, z rozrzewnieniem)
Gdy myślą sięgnę w lat dziecinnych chwile...
W gaju — śród stepu — futor mojej matki...
Jakże tam było żyć roskosznie, mile,
Gonić motyle — w łąkach zbierać kwiatki.
Lub w polu wzrokiem śledzić lot sokoła,
I w dal gdzieś za nim puścić myśl żeglugą —
Albo z kurhanu poglądać dokoła,
Jak Dniepr się wije wstęgą śrebrną — długą.
I czegoż więcej w życiu brakowało? —
Za świat starczyły wtedy szlaki nasze,
Gdy pośród nieba swobodnie bujało
Nad własną strzechą wolne stepów ptaszę. —
O! — za coś, panie! wskazał mnie na mękę?
Za coś poróżnił mnie z losem i z Bogiem?
Ten — co mi podał dobroczynną rękę,
Jest wrogiem moim — mojej duszy wrogiem.

MARSZAŁEK.
(zgnieciony bolem, chwiejąc się, idzie ku niemu)
W tem tajemnica... wielka... niesłychana...
Wydać nie mogę.... Zabij bez litości!...
Ale nie żądaj!... Padam na kolana...
(klęka przed Alexym)

LEKARZ (do Alexego)
Przestań! — zaklinam cię w imię ludzkości. —

WANDA (podnosząc ojca)
Co czynisz — ojcze?

MARSZAŁEK (do Wandy)
Ty wstaw się do niego,
Niech nie przeklina —niechaj mi przebaczy!

LEKARZ.
To jest zabójstwem śród cierpienia twego.
(do Alexego)
Ach! miejże litość nad starcem w rozpaczy. —

ALEXY (z goryczą)
Ludzie wyniośli! — świat was będzie sławić. —
Posągi zimne!... wasz rzeźbiarz przy dłucie
Zapomniał w piersiach miejsce wam zostawić
Jak u posągów... miejsce na uczucie!
Boże! jak piękne — wielkie — niesłychane —
Dzieło twej ręki!... ten świat bez skończenia...
Człowiek... twe jedno dzieło nieudane,
Czemuś nie spoczął w dniu szóstym stworzenia?

MARSZAŁEK.
Alexy!... bluźnisz!...

WANDA.
Masz ty w łonie serce?
Jakież uczucie gra pod piersią twoją?
Tyś się potrafił przekształcić w bluźniercę!

ALEXY (z cierpką wymówką)
W twych ustach — Wando! — wyrzuty przystoją?
O! — ty wiesz dobrze, jak mi byłaś droga —
Tyś była jutrznią i światłem mej duszy —
Tak kochać wolno chyba tylko Boga —
Dziś twoje słowo mój gmach w gruzy kruszy.
Za coś mnie—dziewczę! tak zwiodła?... zdradziła?...

WANDA.
Nie — jam nie zeszła z drogi powinności —
Dusza innemu przeznaczoną była.

ALEXY.
A ten mój pierścień — dar szczerej miłości —
Dziś... w cudzem ręku!...

WANDA.
Alexy! mój bracie!
Usprawiedliwić się nie jestem w stanie.
Przebacz! — a tobie po kochanki stracie,
Niech przyjaźń wiernej siostry pozostanie.

ALEXY.
Przyjaźń?!... Nagrody mam więc już do sytu!
Bo czyliż więcej wart jest syn kozaczy?
Że był igraszką — dość z niego zaszczytu!
To mu pociechą niech będzie w rozpaczy.
O! tak — bo litość — dumnych ludzi cnota;
Jako jałmużnę dać ją choć w iskierce!
Lub Kozakowi rzucić w twarz garść złota
W zapłatę, że miał... kochające serce. —
O! ludu polski! — świat byś jeszcze zdumiał,
Dziś by cię dola nie dręczyła taka;
Ale dlaczegożeś dotąd nie umiał
Szczerze uścisnąć dłoń brata Kozaka?

MARSZAŁEK.
Ty jesteś w błędzie!... Krew w żyłach zastyga!...
Wyznam... już wyznam... Twa sprawa wygrana!...
Czuję kres!... Widmo przedemną się dźwiga...
Przebacz!... Alexy!... synu mego...

SCENA VII.

CIŻ. HORPYNA.

HORPYNA (wbiega)
Ach! jesteś synu!... Ukryj się... na Boga!

Marszałek.

Co?... co się stało?

Lekarz.

Czy wypadek jaki?

Horpyna.

Ukryj się, synu przed napaścią wroga!
Za tobą śledzą moskiewskie Kozaki.
Nasze domostwo właśnie nawiédzili,
Wszystko przetrzęśli — tak ciebie szukali,
A potem — chatę naszę podpalili,
I w miejscu ciebie — tamtego porwali.

Alexy.

Edwarda porwali!

Wanda.

Boże!

Horpyna.

Uchodź — moje dziécię!

Alexy (myślą uderzony)

O! — stwórco świata!

Horpyna.

Bo rzecz oczywista,
Że cię tu znajdą.

Alexy (do siebie, z przerażeniem)

Tak — pamiętam przecie...
U niego była ta spiskowych lista!
Gdy przy nim znajdą... któż te klęski zliczy?
On... i tak wielu...

Wanda.

O! grom w sercu czuję!
On teraz w rękach tej okropnej dziczy!

Lekarz (załamując ręce)

I tamci wszyscy!

Wanda.

Któż go uratuje?

Alexy.

Tak... tak być musi! — Wando! nie miej trwogi!
On będzie wolnym — i tamci z pewnością...
Bóg widzi z nieba — o! ludu mój drogi!
Z jak straszną walczyć musim koniecznością.
Nie my tu winni — lecz koniecznie trzeba!
Więc w imię Boga i Najświętszej Trójcy,
Chociaż przed zorzą grom już spada z nieba,
Gdzie sprawa każe — tam pójdą mołojcy.
Kiedy być musi, niech mój lud kozaczy
Dla matki Polski znowu się zakrwawi.
Przez tę krew może Bóg winy przebaczy,
I biedny naród pocieszy i zbawi.

Marszałek.

Sąd boży!

Lekarz (do Alexego)

Cóż to?

Horpyna.

Jakież twoje chęci?

Alexy.

Matko! — w modlitwie proszę o wspomnienie!
Wando! — już krzywdy zamarły w pamięci. —

Marszałek (wyciąga ku niemu ręce)

Alexy!... słowo... jedno...

Alexy

(wychodząc, wznosi nad nim rękę)

Przebaczenie!

(wybiega)

SCENA VIII.

CIŻ prócz ALEXEGO.

Marszałek.

On mi przebaczył!... To roskosz bez miary!
Ten głos!... to szepnął jakiś anioł w niebie.

Horpyna.

Dokąd on poszedł? — Jakież ma zamiary?

Wanda.

On go ocali!

Horpyna.

Ach! — on zgubi siebie!

Wanda.

Czy nic, Horpyno Edward nie polecił?

Horpyna.

Nie wiem. — Widziałem, gdy porwali jego —
I zaraz płomień nad strzechą zaświecił —
Umknęłam, aby przestrzedz Alexego.

(przypomina sobie)

Lecz — zapomniałam... Biednaż moja głowa!

(dobywa pisma)

Te pisma memu kazał dać synowi —
Tak — to ostatnie były jego słowa —
Albo jakiemuś oddać... Fabianowi.

Marszałek.

Co? Fabianowi?... Pokaż!...

(wyrywa jej pismo, przegląda i z wykrzykiem radości)

Dokumenta!...

Lekarz.

Co to za pismo?

Marszałek.

Precz już z marą groźną!
Jam ocalony!... Lecz... o!... matko święta!...
W mózgu się miesza!... krew stygnie!... za poźno!...
Czytajcie! (oddaje pismo Wandzie i lekarzowi)

Wanda (przeczytawszy)

Boże!

Lekarz (przeczytawszy także)

Nie do uwierzenia! (odwraca się z pewnym wstrętem)

Marszałek.

Córko! — tyś w nędzy — lecz nie przeklnij ojca!
Oddaj przezemnie zagrabione mienia!
To palec boży!... Dziś „on“ mój zabójca...

A teraz... córko!... uczyń obietnicę...
Niech z duszy mojej ciemna zniknie plama!
Pismo, co kryje owę tajemnicę...
Masz Alexemu oddać sama... sama...

WANDA.

To ci przysięgam.

MARSZAŁEK.

Dzięki — mój aniele!
Módl się!... bo w uszach mi dzwoni głos czarta...
Mów pacierz!... Czy Bóg przebaczy tak wiele?...
Krzywda bliźniego... grabież... male parta...
(umiera)

WANDA (do lekarza)

Panie! — patrz! — osłabł — głowa tak opadła!..
Ojcze mój!... przemów!... to ja..: twoje dziécię!

HORPYNA.

Usta ma czarne — twarz zsiniała, zbladła...

WANDA.

Ojcze! — cóż tobie?

LEKARZ (ręką dotyka jego czoła)

Już jest w lepszym świecie. —

Zasłona spada.

Koniec aktu trzeciego.

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym."

I.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Gdy młodzieńcowi ranne rozśmiały się chwile,
Chciał być zwycięzcą na widowniach fali,
W tem go raptem do portu porywają wody;
Wybiegł na ląd żeglarz młody
I odpoczął na mogile,
I już nie pojechał dalej!...

Jan Jakób Russo pisał przez lat dwadzieścia jednę z książek swoich, którą nazwał Spowiedzią; Lamartynowi zarzucano, że ogłosił drukiem „Zwierzania się". Nie mam bynajmniej pretensyi do sądzenia, czy właściwem było znakomitemu filozofowi i wielkiemu poecie, stojącym na świecznikach swojego wieku, jako wzór dla żyjących, wydawać na jaw najdrobniejsze szczegóły przygód osobistych, ale niech mi wolno będzie rzucić na papier kilka rysów z mojej przeszłości, zacierających się zwolna pod zgliszczami ubiegłych pamiątek. Jestto obecnie potrzebą serca mojego, tak dalece, że coś mię prze mimowolnie do stolika; chwytam za pióro, aby uratować owe drogie wspomnienia od zupełnej zagłady, wyrwać je nicości, gdyż nikną już one niestety, niby stado ptaków odlatujących pod jesień.

Człowiek, gdy wszystko koło niego umiera, umrzeć całkowicie nie może, jeźli zostawia niezatarte ślady po sobie, już nie powiem czynów swoich, których nikt częstokroć nie widzi, żadna sława nie nagrodzi, żadna trąba nie rozgłosi; owych czynów o tajemniczych tryumfach, które kwitły i woniały samemu tylko Bogu; lecz ten sam człowiek nie umrze jeszcze, jeźli pozostawi bodaj ślad myśli i uczuć, składające ciche dzieje żywota; a osobistość jego, jego indywidualność sięga po za czas i przestrzeń, bo przenika grób nawet, zdobywając na tym padole wieczność dla siebie. Pomniki myśli twardsze od spiżu.

Cokolwiek bądź, widzi on się tak drobnym owadkiem na tym płanecie, iż pragnie co prędzej zaczepić się o niego czemkolwiek, choćby kartką papieru, pocieszając się nadzieją, że skoro przeniesie się do krainy duchów, jeszcze nie zupełnie tu zginie.

Stary wojskowy na przykład, co obszedł w życiu i morza i kraje, nie piśmienny, opuszczony samotnik, zwykle szczepi przed chatą swoją drzewka, co go przeżyć mają, okrywając zieleni wiankiem miejsca, w których błogo marzył o wszystkiem, co kiedy kochał, co lubił, z czem myśl, życie za młodu skojarzył.

Wszak Fenix starożytnych odradza się ponoć zawsze z popiołów.

Dziad — czujący się bliskim zgonu, zdąża do rodzinnej wioski, w nadziei, że tam przynajmniej westchnie po nim sędziwy Bartosz, pod dachem którego zmłodu głowę chronił, i że wierny pies zawyje na jego mogile.

Katon przed śmiercią trzyma w jednej ręce trupią czaszkę, a w drugiej rozprawę o nieśmiertelności duszy.

Wallenrod przed wypiciem trucizny każe żyć Alfowi, aby rozniósł sławę jego po szérokim świecie.

Słowem, życie ludzkie jest nacechowane dwoma ostatecznościami: śmiercią i odrodzeniem na ziemi. Mówię „na ziemi", gdyż jaki ma zakres dziedzina ducha naszego, niech co chcą o tem prawią mędrcy i proroki, ja zaś rzekę: nie wiadomo!

O wy, niebiańskie ptaszyny! o wy, czary mej miłości! nie uciekajcież więc tak szybko odemnie!.. Chwilkę, jednę chwilkę, zostawcież mi przecież czas pożegnać was na wieki!

Jakże wy dziś smutne, choć z pogodą na czole; jakże wesołe, choć z łezką w źrenicy; a jakże, o mój Boże! zamglonym już promieniem błyszczą wasze wdzięki?!.

Bo niedługo młodość świeci,
Z młodością złotą, złoty wiek uleci!

Ach — bodaj to młodość! Wszak w każdej życia dobie mile ona dla nas jaśnieje, choć już zagrzewać przestała. Toż i księżyc nie grzeje, a jednak jakże on piękny, jak uroczy. Nie darmo któryś z poetów wyrzekł, że wspomnienia są jako ptaszki, przyspiewujące naszej starości. Tak, zpoza krepy osłaniającej przeszłość jaśnieją one zawsze i wszędzie na szarej kanwie żywota. Pośród tysiąca zwyczajnych przygód zalatuje do naszego ucha echo drogich wspomnień i dobrze znajomych; — a ile takich wspomnień, tyle krynicznych strumieni dla odświeżenia ducha, strudzonego tą ziemską pielgrzymką. Nieszczęsny, kto ich nie zaznał — do kogo się ani razu nie uśmiechnęły barwy tęczowych promieni, kto urodził się, wzrastał i istniał jak kamień.

O wy, czciciele arytmetyki; najnielogiczniejsi sekciarze oddzielnej, właściwej wam samym logiki; wy pseudomędrkowie, co to nie jesteście ani zimni, ani goręci, lecz ckliwo-letni; wypasieni, porządni i poważni na pozór; przyuczeni najpiękniejsze dzieła wszechstworzenia rozczyniać w chemicznych tygielkach; dla których rajska sukienka ułudy nie ma żadnego powabu; wy młodzi starcy, coście usłuchali wykrzyku cara: „precz z marzeniami!“ wy nakoniec samoluby, coście nic w życiu nie ukochali, wyjąwszy siebie samych — jakże smutne przedstawiacie studyum!

Czy ty żyjesz nadobna Wandziu? czyli pamiętasz, jakeśmy oboje, szczęśliwi, ująwszy się za ręce pląsali po nadwiślańskich łanach, zbierali niezabudkę i słuchali pienia słowików?..

Wandzia była to prawie rówieśnica moich rannych latek, przyjaciółka młoda, cichej wioski wychowanka, której serce, bijące niewinnym świętym zapałem, w milczeniu wielbiłem, której krasę podziwiałem tyle, której się wszyscy wraz ze mną dziwili. Było to dziewczę w pierwszym brzasku jutrzenki, podobne do różanego pączka, zamkniętego w sobie, mało się ulatniającego, atoli tak pełnego uroku.

Miała lat szesnaście, gdy ją poznałem—ów wiosenny rąbek. Nie należała ona wprawdzie do rzędu piękności klasycznych, co to bywają opiewane przez poetów i służą za model dla malarzy; lecz za to w jej postaci lotnej, giętkiej, eterycznej, w całem jej ułożeniu malował się wyraz nieporównanej słodyczy i łagodności.

Wysmukła, blada, z jasną główką blondynka, z pociągłą twarzyczką, z oczyma ciemno szafirowemi o długich i gęstych rzęsach, lubiła się niekiedy zamyślać; a wtedy zdawało się, iż patrzy pona wewnątrz siebie, że się przygląda swej duszy z rodzajem melancholicznego omdlenia, i że z jej ramion lada chwila skrzydełka się wysuną, żeby dopełnić postaci anioła, który nie powinien dotykać się ziemi, aby się nią nie skalać.

Oto portret mojej czarodziejki małej; a jakeśmy się poznajomili, opowiem:

Działo się to w Warszawie. Obciągnięty w mundurek studencki z czerwonym kołnierzem, poszedłem ze zlecenia na ulicę Marienstadt. Pan inspektor gimnazyalny prosił mię bowiem, abym tam wziął pod swoje zwierzchnictwo chłopca nieuka z klasy początkowej.

Przybywszy do jego mieszkania, zastałem tylko dwie panny stojące na środku pokoju, zatrudnione wyciąganiem płótna, dotąd nie wiem na jaki użytek. Znacznie starsza z nich szatynka, nieco podeszła, która zakrawała już na arcypannę, uśmiechnąwszy się wskazała mi fotel.

— Proszę siadać — rzecze — domyślam się, kto pan jesteś, oczekiwaliśmy pana. Pani L., moja ciocia, wyszła na przechadzkę z Kostusiem, lecz wkrótce powróci. Jakże się ucieszy...

Jej towarzyszka zarumieniła się lekko, nie rzekłszy ani słowa. Jak lilia śnieżna i wspaniała, pochylona pasowała się biedaczka ze swem płótnem, czyli raczej ze starą panną, która będąc mocniejszą pociągała ją ku sobie.

Nie czekając długo, pospieszyłem jej na pomoc. Wtedy to ujrzałem zbliska jej cudowne oczy — dziwo — marzenie—i usłyszałem dźwięk głosu, który mię nawskróś przeniknął. Przebóg! cóż to za głos—dotąd brzmi w mojem sercu, choć milczy dla ucha. Głos ten był cichy, tkliwy, i jakaś uroczysta smętność w nim się rozlewała; a miły wyraz bladego oblicza dziewicy, uwydatnionego czarną żałobną suknią, budził mimowolnie żywe zajęcie, połączone z uczuciem podziwu i uszanowania.

To ona, Wandzia — siostra na opiece, co dopiero opuściła pensyą!

Jej koleżanka, Marynia, wezwana po coś przez służącą, zostawiła nas samych; wtedy zająłem jej miejsce. A tak, prowadząc gawędkę z ex-pensyonarką o wszystkiem i o niczem, stojąc naprzeciw niej, pociągaliśmy się ku sobie, jak dwa magnesy, za pomocą nicianego rąbka. Nieoszacowany rąbek!..

Aliści nadchodzi gospodyni domu z synkiem, owym nieukiem Kostusiem, i zmienia się scena w salonie. Moja czarodziejka opuszcza mię zabrawszy swój zwitek, idzie do stołu i przykrawywa jakąś bibulastą formę, ja zaś staram się zdobyć na powagę wobec nowego ucznia, przedstawionego mi przez mątkę.

Pierwsza korepetycya odbyła się świetnie. Damy mnie słuchały, będąc obecne w salonie podczas lekcyi. To mi dodawało wymowy. Czując się trochę strudzonym, nabierałem natchnienia spojrzawszy na skromną minkę Wandzi, zajętej ze spuszczonemi oczyma robotą.

Przed odejściem złożyłem jej najzgrabniejszy ukłon, na jaki się tylko zdobyć mogłem — czułem, że się obejrzała za wychodzącym. Nazajutrz znowu nie zastałem pani L., nie gniewałem się wcale o to — Wandzia już mię traktowała z pewną zażyłością, jak gdyby swego krewnego. Nie posiadałem się z radości, gdyż dusza moja tak jej właśnie potrzebowała. Dojrzewałem wcześnie.

Upłynęło kilka tygodni. Pani L. dowiedziawszy się, iż daleko kwateruję od jej domu, i że tem samem uczęszczanie me na lekcye jest połączone z poświęceniem, ofiarowała mi przy jednej ze swych lokatorek schludny, elegancki pokoik. Oczywiście nie domyślała się poczciwa matrona, jakie następstwa ztąd wyniknąć mogą. Rozumie się, że ofiara została skwapliwie przyjętą, bo zaraz na drugi dzień przeniosłem się do jej kamienicy.

Uważałem się wówczas za nader szczęśliwego, tak mi już niczego nie trzeba było. Wszystko się bowiem uśmiechało ku mnie; młodość, lube igraszki z kolegami ławy szkolnej, wiara w przyszłość, a nadewszytko blondynka, którą już pokochałem był jak własną siostrzyczkę.

Ilekroć razy powracałem w południe z gimnazyum, ujrzałem ją w oknie. Na biórku u siebie znajdowałem niekiedy bukiet. Któżby go splótł, jeźli nie jej paluszki? Sąsiadka ma, podeszłego wieku osoba, żona urzędnika, u której właściwie mieszkałem, kochała ją też bardzo, gdyż nie podobna było jej nie kochać.

Często w licznem towarzystwie wychodziłem z nią na spacer—robiliśmy razem wycieczki za miasto, podczas których przez jakieś przyjaźne losów zrządzenie zawsze znaleźliśmy się przy sobie; często też wybiegaliśmy oboje do domowego ogródka i łapali motyle; ale i zdarzyło się, że zatopieni w mrzonkach postępowaliśmy w milczeniu obok siebie: ona z pochyloną główką, zadumana, zamyślona, z kropelką rosy zwilżającej jej twarzyczkę, — a ja wpatrujący się pilnie w ten żywy obraz zachwytu ze szczególnem wzruszeniem, z któregobym naprózno był usiłował zdać sobie rachunek.

Wtedy to zdawało mi się dostrzegać, że starsze panie nie spuszczały z nas badawczego oka, i że mężczyzni się uśmiechali spoglądając z ukosa na siebie.

O! ten uśmiech, to straszne bluźnierstwo przejęło mię oburzeniem, a nie przewidywałem niestety, prostaczek chrystusowy, że był on błyskawicą, która miała zrządzić uderzenie piorunu.

Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy pewnego pięknego poranku zatrzymawszy się na schodach, aby przejrzeć afisz, o niczem złem nie myśląc, słyszę na raz głosy dwóch kobiet rozmawiających podemną, nie widząc mnie wcale.

— Nie miała baba kłopotu, kupiła se prosię — rzecze pani L. — a to czysta kara boża! I co tu począć?.. On mi tak potrzebny... zbliżają się egzamina... bez niego ani myśleć o promocyi Kostusia... O! ta niegodziwa Wanda — to ona wszystkiemu winna.

— Nie martw się pani — odpowie dźwięczny, srebrny głosik przyjaciółki pani L. i jej lokatorki — może to jakoś wszystkiemu się zaradzi, że jak to mówią będzie i wilk syty i owca cała.

— No proszę, ktoby się spodziewał? — przedłużał pierwszy głos — jemu jeszcze gramatyka z kieszeni wygląda, a ta już sobie głowę nabiła smar...kaczem... i przeszkadza mu do nauki; a już przecie dorosła pannica, powinnaby mieć rozum...

— Wie pani co?

— Nie wiem.

— Udawaj pani, że nic nie dostrzegłaś i basta! Zostaw mi nad nim wyłączne panowanie, a spodziewam się, iż go z tego szału uleczę. Spuść się tylko na mnie!

Hm! hm! — pomruknąłem — ciekawym, jaka to będzie ta kuracya?.. gdy tymczasem głosy zniknęły, wydostawszy się na ulicę.

Winienem tu dodać, że dama, co mię leczyć zamierzyła, była w swoim rodzaju prześliczną, młodą rozwódką, córeczką stolicy Mazowsza, z którą poznajomiłem się od dni kilkunastu za pośrednictwem właścicielki domu. Imię jej Malwina.

Malwina przedstawiała swą osobą typ Kreolki, bardzo niebezpiecznej dla każdego, kto na nią spojrzał. I wiedziała o tem dobrze. Nader miłowała zwierciadła. Była to sobie prawdziwa, rasowa, arystokratka rodu — bo piękna. Zawróciła nie jednemu głowę.

Otóż ciekawy byłem, jakie to ona ma leki, ta Malwina, na uśmierzenie miłości?..

Ciekawość ta nie opuściła mnie jeszcze, gdy na zegarze zamkowym ozwała się spiżowym jękiem godzina przeznaczona na naukę z Kostusiem. Tym razem zastałem panią L. siedzącą poważnie na kanapie i z miną surową robiącą pończochę. Kilka atoli słów, które raczyła przemówić do winowajcy, były bardzo uprzejme i tchnęły życzliwością, lecz za to na twarzy jej kuzynki Maryni, z argusowemi małemi, zawsze przymrużonemi, kociemi ślepiętami, malowała się złośliwa ironia, która ciężyła mi na sercu kamieniem.

To dopiero jędza, ta stara Marynia! — pomyślałem sobie.

Ale otóż nadchodzi z drugiego pokoju Wanda i wita mię zaledwie dostrzeżonem, zimnem na pozór skinieniem. Niespokojny, zatrwożony, spojrzałem w jej oczy: były otoczone czerwoną obwódką — wyraźnie płakała w skrytości nieboga.

Zrozumiałem wszystko, krew ma zawrzała, gdy nadobne dziewczę zawróciło się, wzięło jakąś książkę i zniknło.

Tego dnia Kostuś był większym niż zazwyczaj nieukiem, którego raczej trzeba było oddać do szewca, lub

wysłać na wieś, żeby gęsi pasał, bo ja odpowiedzialności za jego niedbalstwo brać na się nie chciałem. Tego dnia także lekcya trwała króciej niż zwykle. Pani L. zaś zapraszała mię przed odejściem na konfitury.

Lecz nie do konfitur mi było. Pobiegłem na chwilkę do siebie, zkąd postanowiłem pójść na przechadzkę, aby odetchnąć świeżem powietrzem. Potrzebowałem roztargnienia, bo zaprawdę duszno mi było.

W przechodniej komnacie sąsiadki zastałem Malwinę, zajętą żywą rozmową z mą gosposią. Skoro ukazałem się w progu, obiedwie ucichły, młoda zaś rozwódka figlarnym powitała mię uśmiechem.

— Dokądże to tak spiesznie? dokąd?—zawoła.

— Na spacer, proszę pani, na spacer... dzień mamy cudowny.

— Ach prawda! dla tego też mamy i jednakowe chęci... posłałam już po dorożkę... jedź pan ze mną, proszę... będzie nam weselej.

— Aaa!.. i owszem — wyjęknąłem, gdyż zaświtała mi myśl, że się może czegoś od niej wywiem.

Malwina wyperfumowana, strojna, krochmalna, wyrurkowana, wyglądała jak królowa. Podałem jej rękę, zaprowadziłem do powozu, i potoczyliśmy się Krakowskiem przedmieściem i Nowym Światem do Łazienek królewskich.

Malwina promieniała wdziękami, którymi przyroda hojnie ją wyposażyła. Była miłą, fosforyczną, czarującą podczas przejażdżki. A jaka wymowa! co za śliczne, trafne poglądy! ileż poezyi i dowcipu w każdym jej wyrazie!.. do serca każda przebijała głoska. Jakżeż ona umiała zajmująco opisać owe Łazienki, owę ustroń wydobytą z moczarów i bagien, a przemienioną skinieniem różczki magicznej w kunsztowne gniazdeczko, wysłane puchem łabędzim, na marmurowych osadzone płytach!



Widok zamku Rapperswyl.

(Rysował podług fotografii K. Młodnicki.)

Długośmy się przechadzali po zielonym, rozkwitniętym gaiku, roskosznie oblanym promieniami majowego słońca; aż stanąwszy na spoczynek przed posągiem, — który bohaterskiemu królowi wystawił zniewieściały monarcha, otoczony kobiet i dworaków gronem, ów twórca Łazienek, co ręką zuchwałą a sercem spodlonem trzy razy podpisał rozbiór państwa swego — Malwina zaczęła opowiadać anegdotki o miłostkach tego wiarołomnego króla epikurejczyka — niedołęgi.

Uczucia, jakiem wtedy owładnięty zostałem, oddać trudno. Ktoby podobnego wrażenia w całej pełni chciał

doznać, trzeba, aby był na mojem miejscu, obok owej zalotnej, elastycznej, jaśniejącej potęgą i siłą tryskającego życia, pysznej Warszawianki, obok tej syreny, przemawiającej językiem tak dla mnie nowym, roskosznym, lubieżnym.

Ten język pieszczotliwy — ta kobieta przy mym boku — to jej szczebiotanie, któremby zrzuciła i gwardzistę z konia — tudzież wytworne wdzięki greckich bogiń wyglądających z Łazienek, już to nagich, już obleczonych w leciuchne, z białego marmuru uwite, niemal przezroczyste, opadające szaty — lazur wód — pogodne niebo — zalatująca woń pomarańczowego kwiecia — ptasząt zalecanki — wszystko to razem wzięte odurzyło mię, upoiło; zapomniałem nawet o biednej, tęsknej Wandzi, gdyż dusza ma utonęła w Malwinie.

Bo i cóż to jest młodzieniec?
Istność marna — senna — płocha,
Jutro rzuci, co dziś kocha,
Dzikich marzeń potępieniec.

Zaiste, wielka to prawda wogóle; lecz ja byłem wyjątkiem, i powyższy wiersz na szczęście do mnie zastosować się nie dał. Posłuchać proszę:

Malwinę odprowadziłem pod wieczór do jej mieszkania. Zaprosiła mię na herbatę. Zaledwie wstąpiliśmy do salonu, ledwie zdążyła zrzucić kapelusz i zarzutkę, utrudzona, na pół zemdlona, padła na najbliższą sofę, szukając ochłody w wachlarzu.

Byliśmy sami; dzień był gorący, skwarny nawet; spuszczone żaluzye nie dopuszczały mającego się ku zachodowi słońca; wyszukane kwiaty i krzewy wychylały romansowo pachnące, różnobarwne listki z wazonów ustawionych w oknach; w kąciku z pośród ciemnych kaktusów wyglądał z postumentu jasny amorek; miły zmrok panował w komnatach Malwiny. Nad kominkiem wisiał wybornego pędzla obraz, przedstawiający kąpiące się Najady. Jaki salon, taka pani. (C. d. n.)

Muzeum polsko-historyczne w Raperswylu.

W położeniu tak wyjątkowo nieszczęśliwem, w jakiem znajduje się Polska, tępiona z systematyczną zaciekłością przaz wandalizm moskiewski, jest każda ofiara, każde nawet usiłowanie ku ocaleniu jej pamiątek historycznych — najdroższych skarbów narodu — dowodem rzadkiego patryotyzmu, wielką zasługą wobec narodu. Tem większą zaś jest wartość i doniosłość takiego dzieła, im bezpieczniejszem jest ono od zagłady, im dalej znajduje się taka skarbnica od niszczącej dłoni caratu, na ziemi wolnej, pod opieką narodów cywilizowanych, jako wymowne świadectwo niespożytej siły i żywotności polskiego ducha.

Takim aktem patryotycznym, takiem dziełem wielkiej zasługi wobec narodu, jest Muzeum historyczno-polskie, założone na ziemi helweckiej staraniem i ofiarą hr. Władysława Platera. Wiadomo już czytelnikom naszym, że przed dwoma laty, w stuletnią rocznicę zawiązania Konfederacyi Barskiej, wzniesiony został za usilnem staraniem tego zacnego patryoty — ze składek nie tylko narodowych, ale całego niemal świata cywilizowanego—pomnik w Rapperswylu, którego wizerunek wraz z opisem uroczystości jego odsłonięcia podała „Strzecha“ w pierwszym roczniku swoim. Otóż dalszym ciągiem tej patryotycznej działalności i ofiarności hr. Władysława Platera jest założenie polskiego muzeum w starożytnym zamku, który na ten cel ofiarowało miasto Rapperswyl, a którego widok podług zdjęcia fotograficznego przedstawia załączona do tego artykułu rycina nasza. Ażeby zaś zapoznać bliżej czytelników naszych z istotą i postępem tej instytucyi narodowej, najlepiej będzie — zdaje nam się — przytoczyć to w całości dwa dokumenta, ogłoszone dotąd przez zarząd tego muzeum.

Pierwszym z nich jest następująca

Odezwa do przyjaciół Polski.

„Gdy naród polski po stuletniej walce o swoję wolność i niepodległość pragnie zachować od zagłady to, co ma najdroższego, t. j. pamiątki swego bytu narodowego, znachodzą usiłowania jego silne poparcie w opinii publicznej cywilizowanego świata. Mamy tego dowód w odgłosie, jaki znalazła w Europie i w Ameryce myśl założenia w Szwajcaryi polskiego muzeum historycznego; w powszechnem współczuciu, jakie ta myśl obudziła, i w żywym udziale w tej fundacyi.

Cel jej bowiem jest wzniosły i szlachetny; idzie tu o zachowanie dla Polski materyalnych świadectw dawnego jej bytu pod względem historycznym, literackim, naukowym i artystycznym; o ochronienie ich od wszelkiego szwanku po stuletniem łupieztwie, które Polskę ogołaca z muzeów, bibliotek, zbiorów kosztownych, i targa się nawet na jej wiarę religijną i język ojczysty.

Nieustanna protestacya międzynarodowa w formie pomnika w Rapperswylu przypomina światu olbrzymią zbrodnię przeciw ludzkości, która musi być odpokutowaną, i wielki akt zadośćuczynienia, który musi być spełniony. Muzeum historyczne w tem samem miejscu uzupełnia tę manifestacyą, i przypominać będzie światu dawną świetność Polski, prawa jej nieprzedawnione, usługi, które oddała

cywilizacyi i Europie, a nakoniec jej upadek właśnie w chwili, gdy gromadziła żywioły do wyswobodzenia najliczniejszej klasy swoich mieszkańców.

Szwajcarya, przedewszystkiem kraj wolności i legalności, nie mogła być obojętną na dzieło tak wielkiej doniosłości. Miasto Rapperswyl, któremu zawdzięczamy przepyszne miejsce na pomnik, ofiarowało na muzeum swój starożytny zamek, który stał się tym sposobem własnością narodową Polski.

I pomimo swej obecnej niedoli będzie Polska prędzej czy poźniej w stanie opłacić znaczne koszta nieodzownej restauracyi zamku, którą zajmują się teraz gorliwie założyciele muzeum, ażeby otwarcie jego mogło nastąpić w lecie roku bieżącego.

Tymczasem gromadzą się dary nadsyłane z różnych krajów; jeden z monarchów państw pierwszego rzędy wziął udział w tej fundacyi; rząd Stanów zjednoczonych Ameryki północnej poparł ją swoją ofiarą; sławni pisarze wzbogacają bibliotekę muzeum swemi dziełami; wydawcy, artyści należą do tego szlachetnego spółuczestnictwa; towarzystwa uczone przysyłają znakomite dary; a my pospieszamy podać to do publicznej wiadomości i wyrazić wdzięczność naszę, komu się należy.

Publiczność znajdzie w muzeum szacowne zbiory dokumentów, autografów, dzieł historycznych, medalów, przedmiotów sztuk pięknych, starożytności, kart jeograficznych i etnograficznych i t. d., które rzucają żywe światło na dzieje Polski. Wobec tych świadectw staną się usiłowania jej odwiecznego wroga, ażeby przekręcać i fałszować historyą, coraz płonniejszemi.

Kończąc niech nam wolno będzie odezwać się do dziennikarstwa i do szlachetnych przyjaciół Polski w różnych krajach, aby raczyli wziąć udział w tem pięknem dziele, które oddajemy pod opiekę cywilizacyi i wolności, a które patryotyzm polski uzupełni.

Dzień uroczystego otwarcia muzeum będzie przynajmniej miesiącem wprzód ogłoszony.

Willa Broelberg pod Zurykiem, w lutym 1870.“

Drugie zaś ogłoszenie, datowane z Rapperswylu 19. kwietnia r. b., opiewa:

„Restauracya zamku, przeznaczonego na Muzeum, zostanie wkrótce ukończona, aby najdalej przy końcu lata odbyła się uroczystość otwarcia muzeum. Brama, krużganek, schody, wszystkie drzwi, podłogi, sufity, okna, ozdoby architektoniczne, wspaniały balkon z ciosanego kamienia, kominy, piece, obicia, mieszkanie dla konserwatora i odźwiernego, umeblowanie sali muzeum i t. d. — wszystko jest zupełnie nowe, ponieważ od dawnych czasów nie robiono żadnych wydatków na utrzymanie wewnętrzne zamku.

Widok z nowego balkonu jest przecudny; ściąga też liczne tłumy mieszkańców miasta, ucieszonych wielce tą nowością. Aby uniknąć uszkodzenia, wiele przedmiotów znajduje się jeszcze w warsztatach. W tych dniach przeniesione zostało więzienie z zamku do miasta, co pociągnie za sobą znaczny ale nieuchronny wydatek.

W Paryżu ogłoszona została piękna rycina; jest to widok zamku i pomnika.

Muzeum otrzymało wiele nowych darów; pomiędzy nimi znajduje się puhar wytwornej roboty, ofiarowany królowi Sobieskiemu przez miasto Gdańsk: zawdzięczamy tę historyczną pamiątkę pani Iłowickiej z Prus Zachodnich. Prócz darów wzmiankowanych uprzednio, ofiarowanych przez różne osoby i towarzystwa, muzeum wzbogacone zostało darami przesłanymi przez Towarzystwa Naukowe i Przyjaciół Oświaty w Krakowie, przez Bibliotekę polską w Paryżu, księgarnię p. Władysława Mickiewicza tamże; księgarzy Żupańskiego i Leitgebera w Poznaniu, Richtera we Lwowie, Hoffmana i Campego w Hamburgu, Schulthessa w Zuryku, i wielu innymi, których ogłaszać jeszcze nie możemy. Ograniczamy się przeto do następnych darów:

Ś. p. hr. Montalemberta, hr. Jana Działyńskiego, pp. Henryka Martina, Duchińskiego, Żulińskiego, Józefa i Ksawerego Gałęzowskich, Gillera, doktora Paul, Maleszewskiego malarza, Mieczysława Paszkowskiego, pani Amelii Gałęzowskiej, Komisyi Medalowej, p. Karola Królikowskiego, księży Perraud i Lescuer w Paryżu. p. Szulczewskiego w Londynie, stowarzyszenia Kościuszki w St. Gallen, pani Kosińskiej, pp. Calliera i Bełzy w Poznaniu, p. Głogowskiego w Ostrowiu, hr. Adama Sołtana i p. Henryka Sypniewskiego w Prusach Zachodnich, hr. Józefa Młodeckiego i Ludwika Piotrowskiego w Galicyi, p. Amieta syna przyjaciela Kościuszki w Solurze, p. Kraszewskiego i pani Karasowskiej w Dreźnie, pp. Forstera, dr. Robińskiego i panią Pietraszewską w Berlinie i t. d.

Biblioteka muzeum jest już zbiorem ważnych materyałów dla Polski i ciągle wzrasta. Kollekcya autografów znacznie się powiększyła; rząd kantonu Solury przysłał do Zuryku wszystkie papiery Kościuszki dla ułatwienia kopii. Ciekawe są dokumenta dotyczące Legionistów polskich z czasów republiki francuzkiej. Z naszej epoki ofiarowano muzeum zbiór korespondencyi Rządu Narodowego z 1863 roku, oraz druki i pieczęcie ówczesne. Z Rzymu wysłane już są znakomite dary.

Muzeum posiada piękny zbiór wykopalisk z Wielkopolski sławiańskich i rzymskich, biusta sławnych mężów Polski, obrazy, ryciny, litografie, kollekcye numizmatyczne, mapy, różne pamiątki narodowe. Zapewnione Legata wzbogacą ten Zakład coraz większemi zbiorami i nową biblioteką. Muzeum oddane będzie, dla większej rękojmi na przyszłość, pod opiekę władz miejscowych i ambasady francuzkiej w Szwajcaryi, co się tem łatwiej uskuteczni, że cesarz Napoleon należy do fundacyi.

*

Tu musimy też wyrazić naszę wdzięczność za gorliwość okazaną przez redakcyą Dziennika Poznańskiego i inne pisma polskie, które otworzyły subskrypcyą lub dały dowody większego spółczucia, i za ofiarowene tysiąc franków przez hr. M. Z. w Wielkopolsce „na tę Instytucyę Narodową, która na nowem polu zasłuży się Polsce.“

Trzeba mieć nadzieję po długiem oczekiwaniu, że Polacy zdając sobie sprawę z niepewności epoki dzisiejszej, widząc, co się dzieje z fundacyami w kraju, a nawet z zakładem hr. Edwarda Raczyńskiego w Poznaniu, przyczynią się skutecznie do ulżenia ogromnego ciężaru, dotąd dźwiganego przez głównego założyciela, i zbiorowie wezmą udział w dziele narodowem, które przetrwa wieki, będzie chlubą dla Polski i odda jej wielkie przysługi“.

Wobec tego zakończenia nie pozostaje też i nam nic innego, jak tylko wyrazić taką samę nadzieję i pragnąć z całego serca, ażeby jak najprędzej się spełniła.

X.

NIHILISTA.

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.

(DOKOŃCZENIE.)

To się ciągnęło przez miesiące bez najmniejszej zmiany w stosunkach czinownika do rodziny Zawiejskich w ogólności i do panny Hanny w szczególności. Każde wczora podobne było do każdego dziś, jak jedna kropla wody podobna jest do drugiej.

Pantalejmon Pantalejmonowicz wziął się do podstępów. Zaczął się litować nad Polską i unosić nad heroizmem Polaków. I to na nic się nie przydało. Słuchano go, jak się słucha powieści o żelaznym wilku.

Czy ci ludzie są bez krwi i bez ducha!.. — wołał nieraz rozmyślając wieczorem nad wypadkami upłynionego dnia. — Nic i nic!.. Bałwany z kości i mięsa!..

I klął po moskiewsku, dobierając wyrazów co najdosadniejszych i z pod klątw nie wyjmując i panny Hanny, której obraz pokoju mu nie dawał.

Stracił apetyt, stracił sen. Nieraz w nocy zrywał się, w szlafroku i w pantoflach błądził po miasteczku; wychodził w pole i zachodził aż na wzgórze, z którego widział utopiony w cieniach dwór, połyskujący w dali szybami, w których się promienie gwiazd łamały.

Ileż to razy, w czasie takich przechadzek samotnych, brał przed się niezłomne postanowienie, rozmówić się z tą, jak się wyrażał, „przeklętą“ Polką! Lecz zawsze, ile razy do rozmówienia się przychodziło, nic nie wiedział, ani od czego zacząć, ani na czem skończyć, czyli, nie wiedział, o czem mówić.

Handzia miała w sobie tę dziewiczą powagę, która nakazuje uszanowanie i wzbudza trwogę.

Szanował ją i bał się jej.

Jeżeli powie: „nie“ — wszystko przepadło... ten był trwogi jego powód.

A przytem do rozmówienia się nie nadarzała się sposobność. Handzia nigdy z nim nie pozostawała sam na sam. Jakże tu było rozmawiać się wobec ojca, matki lub brata!

Tej okoliczności bohater nasz przypisywał powody zwłoki osiągnięcia pragnień, które niby burza w duszy mu huczały — i na tę okoliczność poskarżył się przed rodziną Chabarowych.

Akulina Iwanówna radziła sługę przekupić.

Nadzieja Mikołajówna podejmowała się Konrada ująć.

Mikołaj Michajłowicz przyniósł z kancelaryi plik papierów i wydobył z nich raport, opowiadający o sposobie przepędzania czasu przez mieszkańców litynieckiego dworu. Z tego raportu odczytał następujący wyjątek:

„Dziewica Zawiejska odbywa często przechadzki do miejsca, zwanego Księży Lasek“.

— Gdzież to ten Księży Lasek? — przerwał Pantalejmon Pantalejmonowicz.

Mikołaj Michajłowicz opisał mu położenie i opowiedział drogę, prowadzącą przez pola.

— Tylko — dodał — potrzeba, aby na tej drodze nikt was nie widział, Pantalejmonie Pantalejmonowiczu, bo by się zwierzyna spłoszyła... Trzeba, żebyście się tam niby przypadkiem spotkali, z Makbetem w ręku...

Od tego czasu Księży Lasek stał się celem wycieczek naszego bohatera. Wizyty swoje we dworze uczynił rzadszemi, za to często wychodził w pole i zbożami podsuwał się ku znajomemu nam laskowi. Powtórzywszy to razy kilkanaście, zapewnił się, że rzeczywiście panna Hanna często odwiedza lasek, ale nigdy sama. W przechadzkach tych towarzyszy jej jeżeli nie brat, to ojciec. Widywał i pana Piotra samego; widział go raz z popem. Zrekognoskował lasek i odkrył w nim pasiekę. Następnie podpatrzył, że pan Piotr, Konrad i panna Hanna do pasieki zachodzą.

Na tem się jego odkrycia były zrazu zatrzymały. Chodziło mu o to, aby zrobić z nich najodpowiedniejszy dla swoich zamiarów użytek. Więc tak sobie rozumował:

Ani na drodze do pasieki, ani na drodze z pasieki nie masz podobieństwa spotkać się z nią sam na sam... Ażeby tego dopiąć, potrzeba pilnować... może się kiedy od towarzystwa odłączy, a może w samej pasiece znajdzie się na osobności...

Pilnował i z tego pilnowania tę odniósł korzyść, że się oznajomił dokładnie z położeniem miejsca, z drzewami, krzakami, płotami i rowami, ze zwyczajami pasiecznika, z jego psem i z tą osobliwością, iż odwiedziny pasieki odbywały się peryodycznie, w pewnych czasu odstępach i o jednej zwykle porze dnia. Przychodzili, wchodzili pod szopę, znikali tam na parę godzin, wychodzili i powracali do dworu. Towarzystwo bywało rozmaicie złożone. Czasami składało się z samych pana Piotra, Konrada i panny Hanny; czasami oprócz nich było jeszcze paru chłopów, pop lub Naftuła.

Pantalejmon Pantalejmonowicz coś zwąchał. Nie miał on wprawdzie wprawy w rzemiośle; lecz, nie darmo urodził się Moskalem. Bon chien — powiadają Francuzi — châsse de râce. Zaleciał mu w nozdrza wiatr czegoś, czego zdefiniować nie umiał. Ujął za koniec jakiejś nitki, po której dojść mógł do jakiegoś odkrycia, którego określić nie był w stanie.

Wielce go to uradowało. Chciał się zwierzyć przed Mikołajem Michajłowiczem i paniami; ale pomyślał sobie:

Co mi to pomoże?..

Sam więc dalej pilnował i śledził, a rodzinie Chabarowów pokazał tylko zmianę humoru tak, że Mikołaj Michajłowicz, mówiąc o nim, zapewnił Akulinę Iwanównę i Nadzieję Mikołajównę, że on albo już swego dopiął, albo pewnym jest, że niebawem dopnie.

— Sławnyj małyj! Nie darmo uniwersytecki chleb jadł... Zwyczajna swołocz nie dałaby Polce rady... On ją albo już uchodził albo dziś jutro uchodzi...

Nadzieja Mikołajówna westchnęła, a Akulina Iwanówna radziła, aby był impetycznym.

Mikołaj Michajłowicz radził ostrożność.

Bohater nasz poszedł za radą tego ostatniego.

Razu pewnego, kiedy towarzystwo znikło pod szopą, przeskoczył przez płot w burzany i burzanami dotarł do otworu temnika. Obejrzał się do koła. Nikogo nie było. Zajrzał do temnika. W temniku nikogo. Wcisnął się do środka, usłyszał chrząknięcie i uciekł.

Serce mu biło przyspieszonem tętnem. Znalazłszy się w lesie odetchnął z głębi piersi, uśmiechnął się i zrobił głową giest oznaczający pewność tryumfu.

Domyślił się, że ma w swojem ręku pana Piotra, Konrada, popa, Naftułę, pasiecznika i wielu innych spólników jakiegoś podziemnego knowania.

Żiąd Narodowy?! — rzekł sam do siebie. — Nic innego być nie może...

Puścił się pędem do X., chcąc natychmiast z odpowiednią siłą powrócić i ująć buntowników na gorącym uczynku. Nim jednakże zaszedł, refleksya odstudziła zapał. Pomyślał, że zyska na tem ordery i rangi, ale straci „przeklętą“ Polkę. Refleksya poszła dalej: A gdyby rewizya zrobiła fiasko?

Więc się wstrzymał. Powtórzył próbę raz i drugi i odkrył, co odkryć musiał: nie żiąd, ale arsenał, przygotowany na użytek przyszłego powstania.

Nie potrzebuję rozwodzić się nad tem, jakie wrażenie odkrycie to na naszego bohatera wywarło.

Śmiał się i płakał. Całą potęgę woli, cały rozum musiał na pomoc przywołać, aby nie postąpić sobie jak wierny poddany jego imperatorskiej mości. Od niezwłocznego zadenuncyowania wstrzymało go tylko to, że w głębi przekonania nie uznawał siebie wiernym poddanym.

Co mi tam imperator!...

W wyznawanej przez niego doktrynie na imperatora miejsca nie było.

Ja sobie sam imperator! — mówił, bijąc się po piersi dłonią. — A zresztą, to nie szpilka, takie mnóstwo karabinów, pistoletów i szabel i te działa... Tego nie wyniesie w godzinę i nie schowa w pudełko... Mam ich w ręku!.. i mogę sobie wybrać stosowną porę i zgnieść, kiedy mi się spodoba... zgnieść — mówił z wzrastającą energią — to robactwo, co w milczeniu, w podziemiu sposobi się do stawiania tamy wielkiej russkiej idei!... Biedne robactwo!...

Czuł pogardę ale zarazem i politowanie—politowanie z tego powodu, że śród tego robactwa widział postać dziewczyny, do której czuł... pragnienie. Uczucia, jakiego doznawał, inaczej określić nie sposób. Nie kochał bowiem, ale pragnął, łaknął, jak trawiony gorączką głodu.

Po powrocie z lasku nie poszedł do Chabarowych. Zamknął się u siebie i cały czas poświęcił na układanie planów, które całemi secinami przez mózg mu się przesuwały.

Układał i burzył.

Dla niesprawienia sobie dystrakcyi nie kazał wieczorem podawać czaju. Z próżnym żołądkiem i wolną od alkoholicznych wyziewów głową położył się do łóżka, ale długo zasnąć nie mógł. Nad rankiem dopiero sen skleił mu powieki, i gdy słońce do jego okna zajrzało, obudził się.

Leżał i myślał.

Wstał i myślał.

Oblicze miał rozjaśnione, tryumfujące. Często spoglądał w zwierciadło i uśmiechał się do siebie uśmiechem samozadowolenia.

Mam ich!... mam ją! — powtarzał od czasu do czasu.

I dłonie zacierał.

Za zbyt dużo musiałbym papieru zapisać, gdybym chciał powtórzyć wszystkie plany, jakie się przez głowę Pantalejmona Pantelejmonowicza przesunęły. Lepiej uczynię, jeżeli opiszę samo wykonanie.

Pantalejmon Pantalejmonowicz w dniu, w którym spodziewał się na pewne odwiedzin rodziny Zawiejskich w pasiece, wziął do kieszeni sześciostrzałowy rewolwer, udał się do lasku, wkradł się do pasieki i schował pod szopą za ulami, w tem samem miejscu, które onego czasu służyło za schowankę dla pasiecznikowego psa. Było mu tam wygodnie. Nie będąc sam widzianym, wszystko mógł widzieć i słyszeć.

Widział więc, jak przyszedł Konrad z siostrą, i słyszał następującą pomiędzy nimi rozmowę:

— Ja wejdę z dziadem — mówił Konrad — a ty, Handziu, zostań... Nie wiele dziś mamy do roboty...

— Jeżelibyś mnie zapotrzebował, to zawołaj — odpowiedziała panna Hanna.

Konrad z dziadem znikli w temniku; panna Hanna usiadła pod szopą na bednarskiej ławie.

W chwilkę poźniej Pantalejmon Pantalejmonowicz stał przed nią z rewolwerem w ręku.

Panna Hanna zbielała nagle jak chusta i osłupiałemi oczami patrzała w oczy człowieka, którego w zmieszaniu wielkiem, jakie jej władze umysłowe nagle opanowało, poznać nie mogła. Chciała wstać, — ruszyć się nie była w stanie.

Pantalejmon Pantalejmonowicz patrzał na nią wzrokiem, któremu usiłował nadać wyraz zupełnego spokoju.

To trwało chwilkę.

Po chwilce nastąpiła zmiana ról. Widać było, jak pannie Hannie wracała przytomność umysłu. Twarz jej stopniowo zafarbowywała się barwą życia, oczy nabierały blasku.

Wstała.

Pantalejmon Pantalejmonowicz krok wtył odstąpił i na wysokość jej piersi pistolet podniósł.

Oczy panny Hanny strzeliły wyrazem dziwnego jakiegoś przymilenia.

— Pan tak dawno nie byłeś na nas łaskaw... Pan nas zaniedbujesz...

— Psss — syknął Pantalejmon Pantalejmonowicz, który w podniesionym głosie panny Hanny podejrzał zamiar wywabienia z podzienia Konrada. I po cichu dodał:

— Ja wiem o wszystkiem... Jesteście w mojem ręku... Ja mam tu z sobą dzieńszczyka, który w lesie czeka na mój strzał...

Panna Hanna głos spuściła.

— Wiem o wszystkiem — ciągnął dalej, ośmielony przewagą, którą nad bezbronną kobietą posiadał — Ojciec pani i brat, pop i żyd i tutejsi mużyki są w zmowie, za którą jednych czeka stryczek, drugich katorga... Pani wie, kogo czeka stryczek, a kogo katorga... Ale — wyrazy następujące cedził powoli — nie chcę waszej zguby... pod jednym... warunkiem...

— Jakim? — zapytała panna, podnosząc oczy i ciskając niemi śmiało w oczy Pantalejmona Pantalejmonowicza.

— Pod tym, ażebyś pani, sama jedna, przyszła dziś do mnie o północy...

— Po co?..

— Rozmówimy się...

Panna Hanna zrobiła taką minę, jakby stłumiła w sobie ból największy. Lecz natychmiast wyprostowała się i odrzekła:

— Dobrze...

Wymówiła ten wyraz z takim spokojem, jakby chodziło o jakąś drobnostkę, nad którą myśleć nie warto. To w zdumienie wprawiło młodego Moskala. Zmieszał się.

— Ale ja nic nikomu nie mówił — wykrztusił — c z e s t n o j e s ł o w o...

— Nie potrzebujesz pan zapewniać... Gdybyś komu co był powiedział, to w tej chwili tu nie pan sam, ale z panem tłum żandarmów by przyszedł..

— No — zaczął...

— Dziś o północy — przerwała panna.

— A jeżeli pani nie przyjdziesz to ja... powiem...

Panna Hanna lekko całem ciałem drgnęła.

— Więc... tak...

— Więc teraz — znów mu przerwała — nie mamy o czem mówić... Będę u pana i... rozmówimy się... Za chwilę może tu kto przyjść....

Pantalejmon Pantalejmonowicz obejrzał się dokoła, ścisnął rewolwer i na palcach odszedł.

Po odejściu jego pannę Hannę śmiertelna oblała bladość. Nogi się pod nią chwiały; ustać nie mogła; powoli przed ławą bednarską osunęła się na kolana; na ławie ręce oparła i twarz w dłoniach ukryła.

W tej pozycyi znalazł ją brat.

— Handziu! — zawołał.

Zerwała się.

— Co ci?... tyś taka blada!.. tyś płakała?..

— To nic — odrzekła z uśmiechem — Czegoś słabo mi się zrobiło... Zawrót głowy... to przejdzie... już przeszło...

Podała bratu rękę i poszła z nim ramię pod ramieniem.

Zastał Akulinę Iwanównę samę w salonie. Skoczył do niej, w ramiona ją pochwycił i do piersi przycisnął — aż stęknęła.

— Co wam, Pantalejmonie Pantalejmonowiczu! — krzyknęła z udanem rozgniewaniem, spoglądając na niego oczami kotki rozwścieklonej z kochania. — Gdyby Mikołaj Michajłowicz widział!...

— Ph!.. Mikołaj Michajłowicz... To szanowny grzyb...

— To prawda.. ale... przecie...

— Jestem impetyczny — przerwał jej nasz bohater.

— Ja tego nie ganię... Młody człowiek nieimpetyczny nie wart podeszwy u trzewika... Ale... zawsze... Mikołaj Michajłowicz...

Pantalejmon Pantalejmonowicz wykręcił się na obcasie, wyszedł do drugiego pokoju, z drugiego do trzeciego, i tam znalazł Nadzieję Mikołajównę. Poskoczył do niej, w ramiona ją pochwycił i do piersi przycisnął. Dziewica przytuliła się do niego, a niby to się wyrywała i cichym głosem roniła wykrzykniki:

— Och!.. ach!..

Młodzieniec puścił ją.

— Oj!.. papińka... mamińka... kki... kki — odkaszliwała.

— Prawda, że ze mną nie żarty?..

— Khi... khi — była odpowiedź bariszni, jakby się jej od uścisku co we środku złamało.

Pantalejmon Pantalejmonowicz wykręcił się na obcasie, powrócił do salonu i zastał tam Akulinę Iwanównę w towarzystwie Mikołaja Michajłowicza, stojącego na środku z cybuchem kurzącym się w ręku.

— Cóż tam? — było zapytanie męża, przewodniczącego powiatowemu dworyanstwu.

— Wsio charaszo i błahopołuczno — odpowiedział wesoło młody czinownik.

— Będzie Polak w błocie?...

— Po same uszy....

Marszałek pociągnął z cybucha, zaciągnął się i osunąwszy się powoli na fotel, rzekł:

— Jak tu dobrze naczalstwo zrobiło, że mi przysłało jednego ukształconego człowieka!... Jeden człowiek, i zaraz inaczej rzeczy poszły... Ze swołoczą nic nie zrobisz... Tylko kradną i piją... Niechby pili i kradli, ale niechby dieło diełali...

Przy tych słowach weszła Nadzieja Mikołajówna. Pantalejmon Pantalejmonowicz zabrał głos, i wymowniej niż kiedykolwiek rozwijał doktrynę, wedle której wszystko jest niczem, i dowodził, że Akulina Iwanówna nie jest małżonką Mikołaja Michajłowicza, pomimo że mu wierność zaprzysięgła, a Nadzieja Mikołajówna nie jest obowiązaną stosować się do praw porządku społeczeńskiego, dla tego, że ten mniemany porządek jest pogwałceniem wrodzonych praw człowieka.

Poważny marszałek głową na to kręcił i nosem czmychał; marszałkowej oczy błyszczały; marszałkówna pokaszliwała.

Nie wiadomo, co o tej doktrynie myślały damy. Mikołaj Michajłowicz znajdował ją praktyczną w zastosowaniu do Polaków, a to dla tego, że gdyby się u nich przyjęła, toby im rozbiła rodzinę. Do osiągnienia tego celu uważał nihilizm, jako środek niezrównany, jako natchnienie, na które zdobył się geniusz Moskwy. I z tej to przyczyny zgadzał się na to, że jego żona nie jest jego żoną, że jego córce wolno porządek podporządkowywać, pod co jej się spodoba.

Pantalejmon Pantalejmonowicz powrócił do siebie wcześnie. O zmroku był już w swojem pomieszkaniu, które urządzał, jakby na przyjęcie jakiej znakomitości. Sam, przy pomocy Iwaniuszy, strzepywał prochy z meblów, zdejmował pajęczyny ze ścian, wietrzył i kadził. Kazał okiennice szczelnie pozamykać i jak najwięcej świéc pozapalać. W niespełna półgodziny w trzech pokoikach zrobiło się czysto, świeżo, jasno, zwłaszcza w bawialnym i bibliotece. W tej ostatniej zostawił na stole nieco nieładu — porozsuwał papiery, i przyłożył je zwierzchu od niechcenia rzuconym rewolwerem, którego lufa spoczywała na jakiejś otworzonej książce. Następnie poprawił i odświeżył na sobie toaletę — przejrzał się w źwierciedle i popatrzył na zegarek:

Dziesiąta... Zapewne zegarek się późni... musi już być więcej... A może i nie więcej... Dwie godziny?.. ach!.. to wiek...

Po chwili zawołał na dieńszczyka:

— Iwaniusza!..

Zaledwie ostatnia sylaba przebrzmiała, Iwaniusza już stał we drzwiach.

— Słuchaj...

— Słuszajus...

— Gdyby z ciebie pasy darli, gdyby cię na kole łamali, gdyby cię w kawałki krajali, nikomu słowa niepiśniesz o tem, co będziesz tu dzisiejszej nocy widział i słyszał...

— Słuszajus...

— Paszoł won...

— Słuszajus...

Zrobił na lewo zwrot i znikł za drzwiami.

Rozkaz ten danym był nie bez przyczyny, tak jak nie bez przyczyny była owa niezwykła wesołość i gadatliwość, z jakiemi nasz bohater wystąpił u Chabarowa. Wesołością i gadatliwością chciał coś w sobie zagłuszyć. Cóż to było, to „coś“? Oto, jeżeli nie zrozumiał, to uczuł, że panna Hanna robi z siebie ofiarę — i ta ofiara poczęła mu sumienie niepokoić. Boć miał sumienie: był bowiem młody, i nie miał jeszcze ani czasu ani możności zalać je gorzałką i zakamienować złodziejstwem, jak wysłużeni czinownicy. Na intencyą tego to sumienia zagłuszał się u Chabarowa brzmieniem własnych słów, zagadywał się stawianiem ostatecznych wyników doktryny, a gdy do siebie powrócił, izbę wymiótł, świéce jarzące pozaświecał i dieńszczykowi milczenie nakazał.

Ofiarność kobiety, oddającej się gorzej aniżeli na śmierć, mimo jego wiedzy i woli sprawiała mu w duszy pewne cklenie. Poczuł w sobie jakby solitera, który go drażnił. Uczucie to wzmagało się w oczekiwaniu, w miarę jak się zbliżała chwila północy. Coś go poczęło wewnątrz trawić, niby gorączka. Zbierała go chętka szukać na nią lekarstwa w rumie; ale... ale... był jeszcze młodym czinownikiem.

Nawet doktryna: „wszystko jest niczem", którą przed paru godzinami u Chabarowa postawił tak silnie i na podstawach tak niewzruszonych, zaczęła się na tych podstawach chwiać.

Ofiara!..

Tego wyrazu nie wymawiał — może nie wiedział o obecności jego w słowniku mowy ludzkiej; ale go czuł zarazem w mózgu i w sercu — to jest, czuł coś obcego w mózgu i sercu, co mu zawadzało.

A gdy to czucie wzmogło się do pewnego stopnia potęgi, czas zaczął dla niego szybko biedz. Znajdował, że zegarek spieszy się, że skazówki pędzą jak szalone. Zaledwie jedynasta minęła, już dwunasta dobiegła. Chciałby czas cofnąć. Poczuł w sobie drzenie.

Nie! — zawołał — ona nieprzyjdzie... Nie! to byłoby z jej strony szaleństwem... Jutro pojadę do Lityniec i powiem jej, że to były żarty, że... i... Moskal... może... mieć...

Po mózgu snuły się mu wyrazy: serce, sumienie...

Mówiąc to chodził. Nagle się zatrzymał. Wydało mu się, że słyszy jakiś chód lekki w sieniach, jakiś ruch za drzwiami.

Ona?... nie... to być nie może... Jutro...

Chciał powtórzyć sobie ostatni okres, lecz mu wyrazy w gardle zamarły. Klamka brzęknęła, drzwi się lekko uchyliły, i do izby weszła... ona.

Weszła. Przy blasku świéc postać jej ukazała się w blasku, w jakim nie przypuszczał Pantalejmon Pantalejmonowicz, aby kobieta wystąpić mogła. Zdawało się, że się zwiała z obłoku istota nieziemska. Warkocze z koroną wznosiły się nad jej czołem, a z pod zagiętych w łuki brwi oczy strzelały dumą, pogardą i spokojem, i jakąś siłą, wydzielającą z siebie jakieś pociski nakształt piorunów.

Taką Pantalejmon Pantalejmonowicz nigdy jej nie widział. Zapatrzył się w nią i zapomniał o swojej roli gospodarza domu. To nie była już w tej chwili dla niego kobieta, której *pragnął*. Jawiła się mu geniuszem, o którego istnieniu nic wiedzieć do niedawna nie chciał; jawiła się mu, jak onego czasu Saulowi Chrystus w blasku, który go oślepił.

Pantalejmon Pantalejmonowicz cofnął się w tył, zmieszany jak student, którego profesor na gorącym pojmał uczynku. Już miał na języku zapytanie:

Pani, po coś tu przyszła?...

Lecz nim to zapytanie wymówił, już miał na nie odpowiedź.

— Przyszłam tu — rzekła panna Hanna głosem pewności i spokoju pełnym — ażeby zdobyć na panu tajemnicę... wieczną...

Ostatni wyraz zabrzmiał tak, jak brzmią dzwony na pogrzebie. Zdawało się, że odnosi się on wprost do wieczności zagrobowej.

— Przyszłam i nie wyjdę od pana, póki tej tajemnicy nie będę miała...

Pokazała mu na piersi palcem prawej ręki. Pantalejmon Pantalejmonowicz uczuł w piersi ukłucie, jakby sztyletowe.

— Cóż mi pan powiesz?.. — zapytała i postąpiła parę kroków naprzód.

Pantalejmon Pantalejmonowicz znów się cofnął.

— Dopełniłam warunku... cóż dalej?...

Znów postąpiła. Pantalejmon Pantalejmonowicz znów się cofnął.

— Przyszłam do pana... sama... o północy... i jestem w pańskiej władzy... ja... nic...

Każdy wyraz tego okresu nabrzmiały był tonem głęboko upokarzającej ironii, która do żywego młodego Moskala ubodła. Mgnieniem błyskawicy przemknęła mu przez głowę myśl:

Ta kobieta urąga mi...

Zawrzało w nim. Wyciągnął do panny Hanny ręce i zawołał:

— Pani, wyjdź z tąd!.. wyjdź!..

Panna Hanna uśmiechnęła się złośliwie.

— Wyjdź!..

— Nie, ja ztąd już wyjść nie mogę... Nie po to tu przyszłam, ażeby wychodzić bez niczego... Oddaję się przecie panu... Daję panu taką dobrą, może jedyną a z pewnością pierwszą w pańskiem życiu sposobność, przez zhańbienie Polki zasłużyć się wielkiej russkiej idei...

Każdy z tych wyrazów był sztyletnem urągowiskiem.

— A no!.. wznieś-że się na wysokość tej idei...

— Precz!... won!... krzyknął na te słowa młody człowiek.

Oczy mu się nagle zaiskrzyły. Wyprostował się, ramię wyciągnął i na drzwi palcem wskazał.

Panna Hanna jeszcze bliżej przystąpiła i twarz w dobrotliwy ustroiwszy uśmiech, usta otwierała, chcąc coś powiedzieć, zapewne na uspokojenie Moskala. Ten jednakże nie dał jej słowa wymówić. Odepchnął ją od siebie. Ona się zatoczyła; lecz się dłonią o poręcz krzesła oparła i na dawne miejsce powróciła.

— Ja ztąd nie wyjdę — rzekła stanowczo.

— Wyjdziesz!.. — krzyknął wściekle młody Moskal. — Won!..

Poskoczył ku niej. Nastąpiło pomiędzy nimi szamotanie. Panna Hanna się opierała; Pantalejmon Pantalejmonowicz pchał ją i potrącał ku drzwiom.

Szamotanie się trwało krótko... Wypadek onego nie mógł być wątpliwym. Przewaga fizyczna była po stronie Pantalejmona Pantalejmonowicza. Młody Moskal wytrącił młodą Polkę za drzwi i drzwi na rygiel zasunął.

Panna Hanna z rozpaczą szturmowała do zaryglowanych drzwi. Pokrwawionymi palcami czepiała się ich, potrząsała niemi. Za temi drzwiami pozostała tajemnica niezdobyta, to jest: życie ojca i brata, wolność tylu ludzi, bezpieczeństwo zawiązku będącego embrionem społecznego ustroju przyszłej Polski, bezpieczeństwo składu, będącego warunkiem powodzenia przyszłej walki o niepodległość ojczyzny — wszystko to pozostawione na łasce i niełasce rozwścieklonego Moskala. Rozpacz ją ogarniała. Dobywała się.

— Otwórz — wołała.

Miała już prosić, błagać, miała spróbować języka zalotnicy do otworzenia sobie tych drzwi, które przed chwilą miały dla niej znaczenie bramy piekielnej, gdy nagle — za drzwiami dał się słyszeć huk wystrzału.

Ucichło.

Po chwilce odezwało się charczenie człowieka mocującego się ze śmiercią.

Panna Hanna przestała się dobywać. W przerażeniu odstąpiła, wyszła z domku, potem pobiegła i w cieniach nocy znikła.

Na drugi dopiero dzień i to dość poźno dowiedziano się, że Pantalejmon Pantalejmonowicz Gagaryszkin odebrał sobie życie za pomocą wystrzału z rewolweru. Powód nie był tajemnicą dla nikogo.

Nieszczęśliwa miłość...

Wszyscy o tem wiedzieli. Ale więcej o niczem, ani nawet o okolicznościach, jakie samobójstwu towarzyszyły.

Zapytywany prywatnie i z urzędu Iwaniusza: co bariń jego robił z wieczora? co mówił? czy kto u niego był? — na wszystkie zapytania odpowiadał:

— Znat' nie znaju, wiedat' nie wiedaju...

Dostał taki rozkaz, inaczej więc odpowiadać nie mógł.

Śledztwo zatem zakończyło się wyrokiem:

— Peredat' ziemli...

Pogrzebowi samobójcy nikt nie towarzyszył. Akulina Iwanówna i Nadzieja Mikołajówna były na nieboszczyka



Dom Stefana Czarnieckiego w Gardzienicach.

zagniewane. Mikołaj Michajłowicz zaś przyszedł do tego przekonania, że w polskim kraju nie przydadzą się na nic, ani swołocz, ani ludzie wykształceni.

W Lityńcach wszystko szło i do dziś dnia idzie po staremu. Arsenał tak wzrasta, że już się okazała potrzeba, dalej w podziemiu kopać. Jeżeli tak dalej pójdzie, to kto wie, czy Lityńce nie przysposobią oręża dla całej Rusi, a przynajmniej dla całej jednej gubernii.

Słyszałem — nie wiem czy prawda — jakoby w sąsiednim powiecie zakładał się podobny arsenalik. Wątpię jednakże o tem. Gdzieby tam, w takich ciężkich czasach, o podobnych głupstwach ludzie myśleć mieli! Będą o nich myśleli, gdy będzie... po niewczasie.

DÓM STEFANA CZARNIECKIEGO W GARDZIENICACH.

Komuż z Polaków nie znane imię Stefana Czarnieckiego? Komuż nie jest drogą pamięć tego wojownika niezłomnej siły i niepokalanej cnoty obywatelskiej, który jaśnieje jak gwiazda nad powodzią nieszczęść i zepsucia swoich czasów, i jak posąg spiżowy rozgranicza dwie wielkie epoki naszych dziejów, kończąc wspaniały poczet bohaterów złotych wieków Jagiellonów, a rozpoczynając szereg szermierzy zagrożonej i upadającej Polski? Któreż pacholę polskie nie powtarza przysłowia tego pierwowzoru wszystkich późniejszych rycerzy kresowych naszych: „Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mię boli, wyrosłem"?! Komuż nie stoi żywo w wyobraźni poetyczna chwila śmierci tego z ran wyrosłego bohatera, uczczonego buławą, kiedy jej już udźwignąć nie mógł konając w biednej chacie wieśniaczej w Sokółowce?—chwila, którą przypomniał w pięknej dumie historycznej Czajkowski, wprowadził na scenę Odyniec w prologu do dramatu „Lubomirski", przedstawili w obrazach Suchodolski i Loeffler, a rozświecił ze stanowiska ścisłej krytyki historycznej z właściwą sobie bystrością i wdziękiem Karol Szajnocha? Któż nakoniec nie zachwycał się opisem wypraw Czarnieckiego, skreślonym rycersko-szlacheckiem piórem Paska, i komuż nie pamiętna zasłużona a wymowna pochwała, którą mu ten niedorównany nasz pamiętnikarz wypisał?: „Był to człowiek i w pokoju i wojnie, senator zacny prawdę mówiący, i żołnierz nieszanowany w okazyach i wódz szczęśliwy. Żałował go król i wojsko wszystko, nawet ci sami, co z nim emulowali i zazdrościli mu sławy. I do tej wojny domowej (do rokoszu Jerzego Lubomirskiego) nie byłoby przyszło z wielu racyj; ale jak go Pan Bóg wziął, zaraz się wszystko zamieszało i w Ukrainie i Polsce. Z jawną przeciwko samemu Bogu każdy taki wyuzdałby się niewdzięcznością, ktoby między innymi dobroczynnymi faworami tego też z osobliwszem dziękczynieniem nie miał przyjmować daru, kiedy na zaszczyt Bóg takiego wzbudzi kawalera, za którego głową utrapiona na obie uszy może się przesypiać ojczyzna, i w swojej, na którą przez wiele lat pracowicie robiła, zażywać swobody".

Spółcześni czcili Czarnieckiego jako od Boga zesłanego zbawiciela, przypisując jego wpływowi możność odwrócenia wszystkiego złego od ojczyzny; potomki sławili jego imię i stawiali go za wzór do naśladowania; spółcześni wspominają o nim z uwielbieniem i patrzącemu nań z odległości dwóch wieków w tem nieskazitelniejszym blasku przedstawiają jego posągową postać.

Sądziliśmy dlatego, że czytelnikom naszym miłą będzie rycina, przedstawiająca ruiny zameczku, w którym Czarniecki przemieszkiwał w tych rzadkich chwilach, kiedy opuszczając obóz używał wczasów domowego życia, a do której dołączamy kilka słów objaśnienia.

W Lubelskiem, w powiecie krasnystawskim, poniżej Sobieskiej Woli, leży nad rzeczką Giełczew w żyźnej glebie wieś Gardzienice. W początkach XVII w. miały Gardzienice należeć do jakiejś rodziny aryańskiej; następnie po wygnaniu tych sekciarzy z Rzeczypospolitej, za Jana Kazimierza, przeszły w posiadanie Stefana Czarnieckiego. Ze znajdującego się tam dawnego zboru aryańskiego począł nowy właściciel przebudowywać zamek mieszkalny i obronny. Nie dokończył jednak budowy, gdyż zaledwie środek i jedno boczne skrzydło stanęło, napadli na Gardzienice Szwedzi, goniąc po wygranej pod Gołębiem w r. 1650 rycerstwo polskie, i rozpoczęty zamek spalili. Zamieszki lat następnych, powołujące niezmordowanego wodza raz po razu na pola bitew, dozwoliły mu zaledwie odbudować to, co Szwedzi zniszczyli, ale drugą część pozostawił niedokończoną.

Po śmierci hetmana (16. lutego r. 1664), na którego synowcu Stefanie, marszałku konfederacyi gołąbskiej, wymarła męska linia rodziny Czarnieckich na Czarnej herbu Łodzia, przeszły Gardzienice na własność Potockich. Zamek przebudowany przez Czarnieckiego był mieszkalnym ciągle, ale już stawiania brakującego skrzydła zaniechano i pozostawiono w dawnym stanie resztę aryańskiej świątyni.

Moskale spalili powtórnie zamek Gardzienicki. Gdy w roku 1794 Moskale pod jenerałem Kachowskim po swojemu w Gardzienicach gospodarowali, zwrócił uwagę

sołdatów ogromny głaz ciosowy, leżący w sieni zamkowej. Z trudnością wydarto go z posadzki i wykopawszy nieco ziemi, znaleziono żelazną skrzynię, w której złożone było przepyszne siodło, bogato turkusami wysadzane. Był to może dar jaki miły, może zdobycz pamiętna ze zwycięzkiej jakiej walki; zawsze jakaś droga pamiątka po hetmanie, która uszedłszy w tem ukryciu grabieży szwedzkiej, nie uszła przecież łupieży moskiewskiej.

Po Potockich nabyli Gardzienice Miączyńscy, którzy zamyślali zupełnie odnowić i dokończyć zamek podług pierwotnego planu; skończyło się jednak tylko na wyrestaurowaniu dawnych pokojów mieszkalnych. Poźniejsi dziedzice, Siedliscy, zastawszy tę budowę pogorzałą, rozpoczęli po raz trzeci jej restauracyą, ale już nie na mieszkanie, lecz na gospodarskie składy. Ostatni właściciel, Lemański, dokończył tej restauracyi, i tak z mieszkania „jednego z najdzielniejszych wodzów naszych XVII w. powstał spichrz na zboże, który wypłacając się praktycznym użytkiem swoim właścicielom, uratował stare mury od zupełnego rozsypania się w gruzy.

Ł. T.

WALKA ORŁÓW.

Ze skał zpiętrzonych stromego szczytu,
Co twardem czołem sięga błękitu,
Wrzkomo warowna strażnica pól,
Wzleciał latawiec górnego lotu
A wojennego świadom obrotu,
Ptak srebrnopióry, skrzydlaty król.

Na rozwinięte oparty żagle
Wznosi się w niebo i znika nagle
Wśród nieprzebranych powietrza fal;
Znowu opada, okrąża pole,
Na granitowym siada wierzchole
I wzrok królewski wytęża w dal.

Nie próżno wodzi wokoło oczy;
Na lazurowej nieba przezroczy
Ciemny, ruchawy spostrzega znak:
Płynie z północy niby łódź hyża,
Rozramieniony niby znak krzyża —
Nie łódź, nie krzyż to, lecz czarny ptak.

On ku strażnicy lotu przyspiesza,
Pędzi jak wicher, a przed nim rzesza
Drobnego ptastwa pierzcha i drzy.
Król srebrnopióry żarem z ócz strzela,
Na miejscu czeka nieprzyjaciela,
Pożądać zda się śmiertelnej gry.

Gniew mu rozpiera szlachetne łono,
Bije skrzydłami, drze skałę szponą,
I dziób swój krzywy ostrzy o głaz;
Naraz się zrywa, wzbija wysoko —
Spojrzeli sobie wraz oko w oko
I uderzyli na siebie wraz.

Z obu stron było natarcie równe,
A uderzenie takie gwałtowne,
Że odparł jeden drugiego wstecz:
Próba to siły i męztwa próba —
I w pierwszem starciu poznali oba,
Że tu śmierć jedna rozstrzygnie rzecz.

Jednak po kilku krętych obrotach,
Udanych zwrotach i kołowrotach
Znów biją w siebie murem o mur,
I w jednem miejscu, jakby zaklęci,
Wiszą pospołu jakby zrośnięci
Lub nanizani na jeden sznur.

Wiszą ujęci w ostre pazury
I czarny orzeł i srebnopióry,
Rośnie obydwóch zapał i gniew;
Jeden drugiego tłucze i szarpie,
W wściekłym uścisku ssą się jak harpje,
Jeden rad wypić drugiego krew.

I nie ma krwawym zapasom końca...
Dzielny napastnik, mężny obrońca —
Wre bój zacięty o górny tron:
Szpona, dziób, skrzydło walczy pospołu;
Już biały chwałę miał wziąć z mozołu,
Gdy mu łup pewny wydarł się z szpon.

W szponach zostało skrwawione pierze —
Lecz nie tu wojny kres i przymierze,
Bo nie opuszcza białego szał:
Trud zetrze siłę, męztwa nie zetrze.
Rzuca się pędem, bije powietrze,
I goni zbiega w około skał.

Leć, leć skrzydlaczu, srebrny latawcze!
Światło ci słońca przyświeca zbawcze,
Boś ty obrońca, mściciel i bicz.
Leć choćby na śmierć w obronie gniazda!
Pięknym płomieniem pali się gwiazda,
Piękniejszym w piersi płonący znicz.

On go unosi, on go zapala;
Pędzi latawiec, jak hyża fala,
Za uchodzącą zdobyczą w ślad.
Łup zda się przed nim uciekać sprośnie,
Mknie górą, dołem, to wprost to wskośnie,
Stary gracz, świadom wojennych zdrad.

Czarny ucieka a biały ściga,
Lecz krwawej walki lot nie rozstrzyga...
Czarny uciekał a zdradę knuł.

Już okrążyli trzykrotnie skały,
Gdy zbieg się wrócił zapamiątały,
Wpadł na białego i parł go wdół.

Wstrząsł się ciśnięty król srebrnopióry,
Zrzuca go, wzlata, uderza z góry,
Śmiertelny w głowę zadaje cios:
Upadł na skałę; — zwycięzca nogą
Pierś nastąpiwszy, rozdarł ostrogą;
A tuż gdzieś puszczyk zaśmiał się w głos.

J. Zb.

Kronika.

Długo pożądany i oczekiwany przyjazd p. J. Królikowskiego do Lwowa był prawdziwym benefisem dla lwowskiej publiczności. Przyjęcie pożądanego gościa było jak najserdeczniejsze, a przy każdem wystąpieniu jego na scenie lwowskiej teatr nabrzmiewał tłumami. Dotychczas p. Królikowski występował w Kupcu weneckim jako Shylock, w Narcyzie Rameau, w Pannie mężatce jako major, w Montjoye, w Świętoszku, w Doktorze Robin w rolach tytułowych, i w Zbójcach Szyllera jako Franciszek Moor.

W grze aktorskiej zarówno jak w grze muzycznej potrzeba odróżniać pojęcie od wykonania, zrozumienie roli od sztuki technicznej, od tej łatwości i swobody na scenie, które mogą dać tylko sumienne studya i długa praktyka. Bez głębokiego rozumienia technika może jeszcze wybornie oddawać drobne szczegóły roli, ale nie potrafi powiązać ich w całość artystyczną; bez techniki samo pojęcie, chociażby najgłębsze, tem, czem dłoń bez palców, czem siła bez narzędzia.

W p. Królikowskim Janie pojęcie i sztuka wzajemnie się dopełniają, i dla tego każda rola naszego gościa jest całością skończoną, zamkniętą, doskonałą. Tajemnicą doskonałą techniki w Królikowskim jest to, że umie on zawsze uchwycić istotny poziom uczuć przedstawianej postaci i odrazu każe nam wierzyć w istnienie takiej postaci. Podnosząc się z poziomu tego w sferę żywszych uczuć i namiętności, umiejętnie stopniuje grę swoję i doprowadza nas w ten sposób do samego szczytu uczuć tragicznych, nie zdzierając na chwilę złudzenia. Ztąd pochodzi to wielkie wrażenie, jakie wywołuje gra p. Królikowskiego. Weźmy go na przykład w roli Montjoye, w roli silnego, praktycznego samoluba. Widzimy go w początku tak spokojnym, tak silnym, tak ufnym w siebie, że nie możemy przypuszczać, aby ten sam człowiek mógł ugiąć się pod ciężarem losu. Jest to jak dzień letni bez chmurki, o którym nikt nie pomyśli, żeby się miał burzą zakończyć. Tymczasem niewidzialnie pod wpływem promieni słonecznych ulatniają się z wilgotnej ziemi wapory; słońce jeszcze świeci, jak dawniej, ale czuć już cały ciężar powietrza. Nareszcie i słońce zaczyna blednąć, siatką mgły przysłonięte rosną i potężnieją obłoki, bystro ściągają się w chmurę, i oto dzień bez chmurki już burzę ma nad głową. Ozdobnem jest stopniowanie gry u p. Królikowskiego. Prawie niewidzialne, zaledwie dostrzeżone daje nam znaki gromadzenia się fatalnych uczuć w sercu; ale pilne oko widza dostrzega je, i im mniej aktor kładzie nacisku na nie, tem silniej widz w nie wierzy, tem złudzenie jest większe i doskonalsze.

Tegoroczna wiosna była bardzo szczęśliwą dla Lwowa; oprócz takiej scenicznej znakomitości, jaką jest p. Jan Królikowski, mieliśmy także odwiedziny znakomitych reprezentantów muzyki. Mówimy o pannie Menter i p. Tausigu. Lwów muzykalny roił się na koncertach obojga pianistów. Dziwna rzecz! Panna Menter, która nie jest uczennicą Liszta, naśladowała grę jego i grała wyłącznie prawie jego utwory i transkrypcye; Tausig zaś, który był jego uczniem, grał tak samodzielnie, z takim spokojem i taką miarą klasyczną, że kiedyś my słuchali ucznia, nie przychodził nam na myśl nauczyciel. Palmę pierwszeństwa bezsprzecznie otrzymał Tausig. Słusznie upatrywano w grze jego plastykę; najcichsze tony jego były jeszcze skończone i pełne.

Jednocześnie w Krakowie i we Lwowie otworzono wystawę obrazów. Ani jedna ani druga wystawa nie posiada nowych arcydzieł, co zresztą trudno wymagać od powstającego dopiero malarstwa polskiego. Potrzeba jednak przyznać, że malarstwo nasze jak i muzyka ma daleko więcej korzystnych warunków dla swego rozwoju, aniżeli nasze piśmiennictwo. Przypuśćmy nawet, że sfera otaczająca malarza nie bardzo się zajmuje jego utworem, że nie daje mu dostatecznego wsparcia moralnego—to zawsze malarz, mający wyższe i usprawiedliwione aspiracye, może się pocieszyć tą myślą, że obraz jego, niedostatecznie oceniony u swoich, może się na szerszym świecie ukazać i na szerszym świecie przemówić językiem zrozumiałym dla każdego, językiem farb i kształtów. Z piśmiennictwem ma się rzecz inaczej. Obojętność i ubóstwo sfery otaczającej pisarza z góry mu naznaczają los jego. Utwór jego musi zdobyć sobie wysokie stanowisko u swoich, zanim potrafi wystąpić na szerszą widownię. Praca pisarska zresztą, jak powszechnie wiadomo, nie daje u nas środków utrzymania, jeżeli nie jest obróconą na dzienne wyrobnictwa literackie,

kiedy przeciwnie sumienna i z talentem prowadzona praca malarska może zawsze znaleźć pokup, jeźli nie na miejscu to za granicą.

Na krakowskiej wystawie główną uwagę zwraca na siebie piękna akwarela Kossaka, która przedstawia Mohorta pokazującego stada swoje księciu Józefowi Poniatowskiemu. Krajobraz jest więcej podolski, niźli stepowy ukraiński. Jest to wielka płaszczyzna, lekko wzgórzami falowana i okryta bujną roślinnością. Powietrza pełno w krajobrazie, a w powietrzu pełno blasku i ciepła. Jak wszędzie jednak u Kossaka, tak i tutaj główna siła jego spoczywa w rysunku przepysznych koni. Obok Kossaka z najnowszych utworów malarstwa polskiego godzi się wspomnieć Floryana Cynka „Długosz szukający królewicza Kazimierza“; i Szermentowskiego „Pasowanie na rycerza przez dziadunia.“ Jeżeli już mowić o jakiej szkole krakowskiej malarstwa, to Cynka potrzeba do niej zaliczyć. Szlachetność rysunku i brak powietrza w obrazie, to jest niedokładność perspektywy, dwie właściwości tej szkoły, łączy Cynk w swoich obrazkach. Twarze Cynka są zwykle bardzo piękne i pełne wzniosłego wyrazu. Szermentowskiego utwór jest drobnym obrazkiem, ale wdzięcznym. Cicha aleja lipowa rozciąga drzemiące konary swoje nad głowami staruszka i małego wnuczka, stojącego z drewnianą szabelką przed dziaduniem, w głębi ogród pełnem słońcem oświecony: to jest treść, w którą włożył malarz wiele idylicznego wdzięku.

Na wystawie lwowskiej przedewszystkiem ściąga ku sobie uwagę widzów wielki obraz Simmlera: Śmierć Barbary. Pisano już o niej od lat kilku bardzo wiele, i powszechnie zgadzano się, że postać Barbary w obrazie jest arcydziełem. August nie wyrównywa Barbarze. Ten żywy człowiek jest za mało wymownym, zanadto czczym i teatralnym przy tej umarłej, a przecie tak wymownej królowej. Pod względem techniki Simmler nie jest takim plastykiem, jak Matejko, potrzeba jednak podziwiać misterność jego w delikatnej robocie koronek, przesłaniających białą pierś umarłej.

Wystawa lwowska ma dotąd bardzo szczupłą ilość obrazów, których znaczną część stanowią portrety. Portretowe malarstwo jest zapewne u nas najpopłatniejszym rodzajem, i dlatego zanadto może absorbuje nasze siły malarskie. Malujący portrety może się doskonale wyćwiczyć w rysunku twarzy, może posiąść wiele tajemnic pięknej karuacyi, ale odprowadzonym jest od studyów nad całem ciałem ludzkiem, które jak Michał Anioł powiedział, stanowi główny przedmiot sztuki malarskiej. Dlatego też malarze, poczuwający w sobie siły do większych kreacyi, powinni być dość oszczędnymi w malowaniu portretów.

Na zakończenie tej kroniki zrobimy zwrot nagły z pola sztuki na pole bardzo żyźne, choć dotąd odłogiem leżące, na pole wychowania ludowego. Sejmik toruński uchwalił utworzenie szkoły rolniczej dla synów właścicieli mniejszych posiadłości. Walne zgromadzenie towarzystwa rolniczego powiatu starogardzkiego wybrało z pomiędzy siebie komisyę, złożoną z gospodarzy wiejskich, a ta wydała odezwę, przemawiającą prostym wprawdzie i nieuczonym językiem, ale tak wymownie za potrzebą silnego a powszechnego poparcia tego zamiaru, że musi ona trafić do przekonania każdego rozsądnego patryoty. Sądzimy bowiem, że jeźli obowiązkiem naszym jest pamiętać o zachowaniu zabytków przeszłości, to daleko większe ciężą na nas obowiązki, przyszłość za cel mające.

T. T.

Ze Świata.

(Osobliwsza para przyjaciół). W pewnem towarzystwie poruszono pytanie, który też lud najwięcej ma skłonności do pijaństwa. Mówiono o Irlandczykach, o Niemcach, o Węgrach, — każdy przytaczał dowody to z własnego doświadczenia, to ze wspomnień historycznych. Wreszcie ozwał się pewien Moskal: „Moi panowie, wszystko to, coście opowiadali, jest niczem. Największymi opojami są Moskale, i zaraz to dowiodę: Dwóch przyjaciół z uniwersytetu, rozłączywszy się po skończeniu nauk, nie widzieli się przez długie lata. Jeden został urzędnikiem w Petersburgu, drugi właścicielem dóbr u granicy sybirskiej. Utrzymywali jednak ciągle serdeczną korespondencyę, a ponieważ ich przyjaźń młodociana była prawdziwa i silna, więc pragnęli obadwaj wielce zobaczyć się znowu i odświeżyć miłe wspomnienia. Wreszcie powiodło się urzędnikowi uzyskać ośmiodniowe uwolnienie od służby. Wyjechał tedy pełen radości i pewnego pięknego poranku przybył do wsi swego przyjaciela. Nie zastał go jednak w domu. Służący, któremu znane było dobrze jego nazwisko, wprowadził go do pokoju, i wnet zastawił przed nim śniadanie z dwiema flaszkami starki. Gość zaczął się raczyć i zasmakował tak dalece w owej starce, że w końcu musiał go służący zawlec na łóżko. Około południa powrócił gospodarz. Gdy mu oznajmiono, że przybył dawny przyjaciel jego, pospieszył doń pełen radości, ale niepodobna było go przebudzić. Musiał więc czekać, aż się wyspi; a tymczasem zasiadł do obiadu i pił z radości tyle, że służący musiał go podobnie jak jego przyjaciela położyć na łóżko. Gdy nad wieczorem ocknął się urzędnik, chciał natychmiast przywitać się z swoim najdroższym kolegą; — ale niestety, i tego nie można się było dobudzić, i kolej czekania przyszła teraz na gościa. Ażeby zaś skrócić sobie czas nudny, popijał co chwila starkę, która sprawiła znowu swój skutek. Tak naprzemian oczekiwali się obadwaj przyjaciele przez ośm dni, i niepodobna im było widzieć się ze sobą. Wreszcie ostatniego dnia rzekł gospodarz do sługi: „Iwanie, widzisz — jaki to szkaradny nałóg pijaństwo. Mój przyjaciel Aleksandrowicz jest znowu pijany. Ja muszę jechać do miasta. Gdy się przebudzi, daj mu tylko prostej wódki, bo chciałbym przynajmniej ostatniego dnia z nim pomówić“. — Aleksandrowicz budzi się i dostaje mimo przekleństw tylko prostej wódki. Trzeźwy tedy, jak mysz kościelna, oczekuje swego przyjaciela. Wreszcie zajeżdża wóz, urzędnik wybiega na dziedziniec i — splunął tylko, bo najdroższy przyjaciel leżał na wozie pełniuteńki jak beczka. Tak więc urlop się skończył, i p. Aleksandrowicz musiał odjechać do Petersburga nie mówiwszy ani słowa ze swoim przyjacielem“.

(Najbogatszy człowiek w Ameryce). Według dzienników amerykańskich szczęśliwym tym śmiertelnikiem jest: p. William B. Astor, syn właściciela sklepu futer w Broadway, który dorobiwszy się znacznego majątku, pomnożył go rozmaitemi szczęśliwemi spekulacyami. P. Wiliam Astor kończył

wyższe nauki w Heidelbergu, i dzisiaj posiada fortunę, jak powszechnie utrzymują, około sześćdziesięciu milionów dolarów, odziedziczonych w większej części po ojcu, a w mniejszej po swoim wuju. Spełniając wolę ojca, p. William urządził w miejscu jego urodzenia, t. j. w Waldorfie w Niemczech, zakład wsparcia dla biednych wszelkiego wieku, płci i wyznania, w którym sieroty kształcą się w rozmaitych rzemiosłach. Prócz tego znajdują się tu osobne oddziały dla ślepych, głuchych i niemych. P. Astor, mówiąc o tym zakładzie, powiedział pewnego razu do swego przyjaciela: „Dumny jestem z mojego Astorhousu (pałacu) w Nowym Yorku, ale dumniejszy jestem z Astorhousu w Waldorfie. Pierwszy bowiem może upaść, gdy tymczasem drugi istnieć będzie razem z Waldorfem, dopóki biedni istnieć będą“. Założona przez niego na żądanie ojca biblioteka, gmach wspaniały obejmujący 139,000 tomów, w którym sam przyrząd do ogrzewania parą kosztował 10,000, cenioną jest na 750,000 dolarów. (Za same książki zapłacono 130,000 dolarów). Biblioteka ta ma, według zamiaru i ofiar p. Astor, który gmach jej rozszerzyć jeszcze postanowił, zostać najpierwszą w Ameryce i w całym świecie. Oto bogacz rozumny, który sercem pojmuje, dlaczego opatrzność takimi obdarzyła go skarbami!

(Literatura ludowa w Japonii) stoi na dość wysokim stopniu, gdyż stara się przedewszystkiem działać na serce i zdrowy rozum ludu. Następująca mała legenda: „Kamieniarz“ — w wiernem tłumaczeniu — niech służy za próbkę naszym czytelnikom:

„ Żył niegdyś w Japonii ubogi człowiek, który zarabiał na życie rozbijaniem kamieni. Była to ciężka praca, i chociaż męczył się od rana do nocy, zarabiał bardzo mało, i nie był przeto wcale zadowolony z swojego losu. „Ach—zawołał pewnego dnia wzdychając głęboko — gdybym choć raz w życiu był tak bogatym, żebym mógł spoczywać na miękkich matach, owinięty grubym, jedwabnym chałatem!“ Westchnienie to doszło do nieba, usłyszał je jakiś geniusz i rzekł: „Niech się stanie, czego pragniesz!“ I ów człowiek stał się bogatym, spoczywał na najmiększych matach i okrywał się najgrubszym jedwabnym chałatem. Pewnego razu przejeżdżał tamtędy cesarz; przed nim trabanci pieszo i konno, za nim bogato ubrani kawalerowie, dokoła niego ludzie, którzy trzymali nad jego głową wielki, złocisty parasol. „Cóż mi potem, że jestem bogatym — mruczał ów kamieniarz — kiedy nie mam prawa, wychodząc otaczać się świtą i ochraniać mej głowy złotym parasolem? Czemu nie jestem cesarzem?“ — „Bądź nim!“ — zawołał geniusz. I został cesarzem; przed nim i za nim ciągnęli bogato ubrani kawalerowie, a nad głową jego noszono wielki, złocisty parasol. Ale słońce rozlewało taki skwar, że paliło nim ziemię, i rzucało tak rażący blask dokoła, że aż oczy bolały od niego. „Cóż mi potem, że jestem cesarzem — wołał tenże — kiedy upał dzienny dokucza mi jak dawniej, kiedy nawet cesarzowi daje się czuć potęga słońca! Gdybym był słońcem, to co innego!“ — Niech i tak będzie; czyś już zadowolony?“ — zapytał geniusz. Gdyż istotnie stał on się słońcem i strzelał promieniami w górę i na dół, w prawo i w lewo, na wszystkie strony, a skwar ich palił zioła, osmalał twarze książąt. Ale oto naraz stanęła chmura między nim a ziemią, odbijała promienie słońca i nie dozwalała im padać na ziemię. — „Jakto! — zawołało słońce — nędzna chmura może stawić opór mojej władzy? Toż byłoby lepiej być chmurą!“ — „I to się stać może“ — rzekł geniusz. Jakoż niezwłocznie nastąpiła przemiana, i nowa chmura, stanąwszy dumnie między słońcem i ziemią chwytała tak starannie promienie słońca, że wnet w jej cieniu ziemia nanowo zielenić się zaczęła. Po niejakim czasie zaczęła spuszczać krople deszczu na ziemię, zrazu pojedyńczo, potem gęstemi strugami, wreszcie gwałtowną ulewą, tak że strumienie występywały z łożysk, a rzeki zalewały brzegi i pustoszyły wszystko dokoła. Nic nie mogło się oprzeć nawałowi powodzi; tylko skała sterczała śród niej nieporuszona. Napróżno biły o nią szumiące bałwany; skała się nie zachwiała. „Więc skała może mi się oprzeć!“ — rzekła chmura — „W takim razie chciałbym być na jej miejscu!“ — „Dobrze!“ — rzekł geniusz. I oto w okamgnieniu stanął jako stroma skała, nieczuła na skwar słoneczny, obojętna na strumienie deszczu, niezachwiana nawałem powodzi. Ale w tem spostrzega u stóp swoich człowieka nędznej postaci i w lichem odzieniu, ale uzbrojonego czekanem i młotem. I ten człowiek odłupywał mu za pomocą swoich narzędzi jednę bryłę po drugiej, obciesując je potem na kamień budolcowy. „Cóż to!— zawołała skała — jeden człowiek byłby w stanie odrywać mi bryły od ciała, i ja byłabym słabszą od niego? To muszę koniecznie zostać takim człowiekiem!“ „Niech się stanie twoja wola!“ — rzekł geniusz. I stał się znowu, jak dawniej, ubogim człowiekiem, który zarabiał na życie rozbijaniem kamieni. Ciężka to była praca; i choć się męczył od rana do nocy, zarabiał przecież bardzo mało, ale — był już zadowolony z swojego losu.

(Wagony hotelowe na kolei Cichego Oceanu). Wygodne i przyjemne urządzenie wszystkich statków parowych na wielkich rzekach i morzach Ameryki północnej weszło już w przysłowie, i słusznie nazwano je ruchomymi hotelami. Przy niespokojnym, ruchliwym charakterze takiego ludu, jak amerykański, i przy wielkich odległościach, jakie przebywać potrzeba w podróżach w Ameryce północnej, łatwo pojąć, że spekulacya, mająca na celu wygodę podróżnych i oszczędzenie czasu, zawsze jest zyskowna. Dla tego też ubiegają się wszystkie towarzystwa żeglugi parowej, jak również wszyscy właściciele hotelów o to, ażeby mogli jak najtaniej nastręczyć podróżnym jak największą wygodę, i tym sposobem uprzyjemnić im podróż i ułatwić. Ta staranność o ułatwienie i upiększenie podróży rozciąga się już oddawna także na koleje żelazne. Każdy wagon kolei na liniach nowszych opatrzony jest w zwierciadło, w butelkę wody z lodem, a zimową porą w piec; przedewszystkiem zaś nastręczają tak zwane wagony salonowe wszelką możliwą wygodę. Po większych liniach kolei żelaznej było oddawna w zwyczaju, że w pociągach pospiesznych dostarczano na żądanie latem napojów chłodzących, zimą zaś herbaty, kawy, grogu, ponczu i innych ogrzewających napojów po miernych cenach. Teraz zaś zrobiono krok dalej i zastosowano system wędrujących hotelów także do kolei żelaznych. Mianowicie na wielkiej linii kolei żelaznej, która od wiosny

roku zeszłego łączy wybrzeża Cichego Oceanu z krajami i stanami nad rzekami Missouri i Mississippi, zaprowadzono oprócz zwykłych wagonów salonowych także tak zwane wagony hotelowe, które opatrzone są w wszelkie możliwe wygody, jak kajuty pierwszej klasy na wielkich statkach parowych, i gdzie podróżny może nie tylko za małą dopłatą do ceny jazdy dostać miękkie łóżko, lawoar i t. p., ale znajduje nadto salon jadalny, gdzie może czytać dzienniki, jeść co mu się podoba, rozmawiać z przyjaciółmi lub wychylić kilka butelek dobrego wina, przelatując przytem z szybkością najmniej sześciu mil niemieckich na godzinę po nieprzejrzanych równinach dalekiego zachodu. Zważywszy, że jazda koleją Cichego Oceanu z San Francisco do St. Louis trwa pięć dni i siedm godzin, a do Nowego Yorku siedm dni spełna, tedy może taka staranność o wygodę podróżnych zasługiwać tylko na najwdzięczniejsze uznanie, zwłaszcza że dobór potraw u restauranta takiego wagonu hotelowego jest bardzo obfity, a ceny stosunkowo wcale nie są przesadzone, przynajmniej nie o wiele wyższe niż po większych hotelach, i wynagradzają przeto sowicie niewygodę pospiesznych i częstokroć bardzo lichych i niesmacznych obiadów po stacyach kolejowych. — Kiedyżto u nas doczekają się koleje żelazne podobnych urządzeń!

(Ludzie bez włosów). Wychodząca w Melbourne ilustrowana gazeta australska donosi co następuje o nowo odkrytej rasie ludzi: „Niedawno przywiózł pewień osadnik z głębi kraju do Sidney człowieka, będącego przedstawicielem osobliwszej rasy krajowców australskich. Człowiek ten nie miał ani śladu włosów na całem ciele. Osadnik sprowadził go z nad brzegów Balconnu, jednego z wyższych dopływów rzeki Darliny, i ta szczególna rasa dzikich ludzi ma przebywać tylko na wybrzeżach wyż wspomnionej rzeki. Tak mężczyzna jak i kobieta nie mają wcale włosów, ale przytem nie widać na nich żadnego śladu słabości naskórnych. Ludzi tych jest bardzo mało; usposobienie ich łagodne i spokojne, a język różni się całkiem od sąsiednich narzeczy. Sąsiedzi unikają też wszelkich stosunków z temi istotami bez włosów, i to z pewnym rodzajem obawy zabobonnej; ale nie czynią im zresztą nic złego. Utrzymywano z wielu stron, że rasa ludzi bez włosów wcale nie istnieje, i że brak włosów przypisywać potrzeba panującemu u krajowców Australii zwyczajowi opalania włosów na znak żałoby. Ale to tłumaczenie nie jest bynajmniej dostatecznem, gdyż w takim razie odrastałyby włosy, i ślady tego dałyby się z pewnością dostrzedz, a tego nie widać wcale u rzeczonej rasy“.

(Połączenie Kaletu z Dowrem). Ilużto sposobów nie próbowano już, by omościć kanał między Francyą i Anglią! Projektowano już nawet awanturniczy tunel, i olbrzymi prom parowy, któryby mógł zabierać całe pociągi kolei żelaznej wraz z pakunkami i podróżnymi. Ale plany te zarzucono już teraz. Kolosalny most mógłby się kiedyś zapaść; podwodny tunel mógłby się przedziurawić, i przechodzący właśnie pociąg możeby pochłonęły słone bałwany! Wszystkie te niebezpieczeństwa odpadłyby jednak, gdyby został wykonany nowy plan francuzkiego inżyniera Burela, za którym istotnie nie jedno przemawia, chociaż sumy, które pochłonął kanał suezki, byłyby nieznacznemi w porównaniu z kosztami tego przedsiębiorstwa. Geologowie dowiedli, że Anglia i Francya były niegdyś złączone; ale kanał przerznął się do morza północnego, i Anglia stała się wyspą. Burel chce sztucznie przywrócić dawny stan rzeczy; chce on z obu stron zwęzić cieśninę kaletańską, zostawiając w pośrodku tylko kanał szerokości tysiąca metrów, któryby był dostatecznym dla przejazdu okrętów wszystkich narodów. Boulogne, Folkestone i Dower, które leżą dziś nad morzem, stałyby się miastami lądowemi; ale pozostawionoby przy nich otworem kanały i doki, tak że byłyby zawsze jeszcze połączone z morzem. Dotąd byłoby wszystko dobrze. Ale jakże omościć kanał, któryby jeszcze pozostał? Na to przeznacza Burel kolosalny prom parowy, któryby w pięciu minutach przenosił całe pociągi kolejowe z jednej strony na drugą, i to nie narażając wcale podróżnych na słabość morską; a to coś warte! Ale dowiedzmyż się jeszcze, jak Burel zamierza zbudować swoje dzieło. Oto materyału na to ma po części dostarczyć morze samo; wielkie jazy i tamy mają być budowane w morze, a na tych osiadałby muł i piasek nanoszony prądem. Gdy z czasem podniosą się wyżej te sztuczne ławice, mają być pokryte kamieniami i ziemią, sprowadzoną z głębi kraju koleją żelazną, a potem osadzone wierzbami i wikliną, i tym sposobem osiągniętoby cel powoli. Wielce sprzyjającą temu przedsięwzięciu jest ta okoliczność, że największa głębokość kanału wynosi tylko 62 metrów czyli 203 stóp angielskich, średnia zaś głębokość tylko 28 metrów, czyli mniej niż wysokość wielu naszych gmachów publicznych. Jeźli nie braknie pieniędzy — a to najważniejsza kwestya—natenczas spodziewa się Burel ukończyć swoje dzieło najwięcej w 12stu latach.

(Walka owadów). Wiadomo jest, jak wielkiemi duchowemi zdolnościami obdarzone są osy. Darwin daje nam tego nowy jeszcze dowód, opisując śmiertelną walkę między osą (Pepsis) i wielkim pająkiem (Lycosa), którą na własne oczy widział w Brazylii. Osa napadła nagle na swą zdobycz i następnie odleciała. Pająk natychmiast został zranionym, gdyż chcąc odejść stoczył się na dół, ale miał dość jeszcze siły ukryć się w trawie. Osa wkrótce powróciła i zdawała się być zdziwioną, nie znalazłszy swej ofiary. Zaraz tedy rozpoczęła polowanie, jak pies za lisem, robiła w locie półobroty i wydawała szybkie brzmienia w ciągu tego czasu swojemi skrzydłami i czułkami. Pająk lubo się dobrze schował, został natychmiast odkryty, a osa, zapewne z obawy przed gardłem swojego przeciwnika, po licznych manewrach zadała mu jeszcze dwa pchnięcia. W końcu swojemi czułkami przekonywała się, czyli jej przeciwnik nieruchomy jeszcze żyje, i próbowała swoję zdobycz uprowadzić i do gniazda zanieść, które lepi w przedsionkach domów dla swoich poczwarek, a zabitymi pająkami i gąsienicami wypycha. Osa znała rzeczywiście broń i niebezpieczeństwo swego przeciwnika. Tu więc skierowała swoje pociski. Wiedziała również, co są warte jej broń i trucizna, i w jakim czasie sprawiają skutek; i dla tego po zadaniu pająkowi ciosu odleciała. Ale miała także wysoko rozwinięty zmysł poznania miejscowości, ażeby swoję zdobycz napowrót odszukać. Najwyższą jednak działalność ducha rozwinęła w wyszukaniu pająka. Do tego musiała posiadać: zmysł miejscowości czyli lo-

kalności, znajomość sposobu życia swego przeciwnika, cierpliwość i przezorność, przymioty, które wszystkie razem wzięte jej duchowemu stanowisku zaszczyt przynoszą.

(Ciekawa roślina). Na południowo-wschodniej nizinie Indyi przedgangesowej, która rozciąga się w południowym kierunku od Madrasu aż do przylądka Comorin, a od zachodu zamknięta jest łańcuchem gór Ghat, istnieje najciekawsza roślina, cienisty banian, z którego gałęzi spuszczają się na dół korzenie napowietrzne i wrastają w najtwardszą nawet ziemię, tak że potem soki idą napowrót w górę i powstają nowe pnie, z których z czasem tworzą się małe lasy. W pobliżu Cuddaloru jest takie drzewo, w którego cieniu może wygodnie spoczywać 1000 ludzi, a którego obwód wynosi 136 kroków. Mnóstwo korzeni napowietrznych wisi ze wszystkich stron, których większa część jednak nie dosięga ziemi, ponieważ chłopcy bawią się nimi robiąc z nich chuśtawki; ale trzydzieści pięć wrosło już w ziemię, i jeden ma już w wysokości 1 metra nad ziemią 6 metrów grubości. Przytem posiada ta roślina jeszcze dwie osobliwości. Najprzód jest nasienie tego olbrzymiego drzewa niesłychanie małe, o wiele jeszcze mniejsze niż gorczycy; a jeźli n. p. zaniesie je wiatr lub ptactwo w najmniejszą szczelinę budynku, przyjmuje się tam i zakorzenia, i może z czasem rozsadzić najmocniejsze sklepienie. Powtóre ma to olbrzymie, tak samoistne drzewo szczególny pociąg do palmy Palmyry; skoro tylko zwietrzy ją w pobliżu, zrzeka się swojej samoistności i staje się rośliną powojową; ze wszystkich stron czepia się jej pnia, tak że Palmyra wygląda jakby oblana nim; tylko korona jej jest u góry wolna, gdy tymczasem banian rzuca dokoła niej swój cień szeroki.

(W haremie teraźniejszego Sułtana) znajduje się razem 900 kobiet. Właściwych małżonek ma Sultan tylko trzy, nadzwyczajnej piękności: Dournel (nowa perła), Hairani Dil (najlepsze serce), i Eda Dil (ozdoba serca). Liczba niewolników, szambelanów, paziów, gwardzistów, stangretów, nakładaczy fajek i t. d. wynosi 2300. Codziennie nakrywają w Seraju 500 stołów, przy których dwa razy na dzień spożywa dwór sułtański do 6000 porcyj rozmaitych potraw.

(Poległych pod Solferinem) wykopywano od 29. listopada 1869 aż do stycznia 1870 z grobów, w których po bitwie z 24. czerwca 1859 zahałem pogrzebani zostali, i złożono kości ich we wspólnych kostnicach; w czerwcu zaś r. b. ma nastąpić uroczyste ich pogrzebanie w dwóch wspólnych grobach. Spodziewani są na tę uroczystość reprezentanci tak francuzkiej jak i austryackiej armii. Przy kopaniu znachodzono złote i srebrne pieniądze, medale, pierścionki, pugilaresy i t. p.; w niektórych czaszkach odkryto kule, od których polegli zabici. Ogółem wykopano 8177 szkieletów, na których tkwiły jeszcze resztki uniformów; liczbę zaś poległych zaraz w bitwie podają na 11,000, a ranionych na 26,000, z których jeszcze wielu w szpitalach pomarło.

(Do biografii Washingtona.) Mało komu zapewnie znana będzie ta osobliwość, że pierwszy prezydent republiki północnoamerykańskiej wydał ostatnie tchnienie w ostatniej godzinie ostatniego dnia w ostatnim tygodniu i w ostatnim miesiącu ostatniego roku 18go wieku. Umarł bowiem w sobotę o godzinie 12 w nocy dnia 31. grudnia 1799.

(Fraszki). „Dlaczego chcesz się waćpani rozłączyć z mężem?“ — spytał przy rozprawie sądowej w Paryżu prezydent pewną kobietę, która domagała się rozwodu—„Przecież on ożenił się z waćpanią z miłości“. — „Och, panie prezydencie — odrzekła zagadniona — czasy się zmieniają; dawniej skoro mnie ujrzał, biło jego serce, a teraz bije już tylko — kij jego.“

Do Hahnemana, wynalazcy homeopatyi, przyszedł pewnego dnia bogaty Anglik, by zasięgnąć jego rady lekarskiej. Doktor słuchał uważnie jego opisu słabości; potem wziął małą flaszeczkę, odkorkował i przytknął Anglikowi do nosa. „Powąchaj pan!... Tak, dobrze—jesteś pan uleczony!“ Zdziwiony tem Anglik zapytał: „Cóż się należy za to?“ — „Tysiąc franków“ — odrzekł doktor. Anglik nie namyślając się wcale wyciąga banknot na tysiąc franków i przytknąwszy go doktorowi do nosa rzecze: „Powąchaj pan!... Tak, dobrze — jesteś pan zapłacony!“

Humoreska.



Pankracy. A — róża! Od kogoż ją dostałeś?
Astolf. Od mojej kochanki.
Pankracy. Gdzież ona służy?
Astolf. Tam, gdzie ty służyłeś za stangreta.

Rozwiązanie Rebusu w zeszycie V.:
„Miło się dla ludzkości poświęcić, bo sława za to i nagroda oczekuje.“

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.